

Rok V.
Kraków, dnia 19 lutego 1911 r.
Nr. 8.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

DO SWOICH...

Jeśli cenimy cześć rodzinnych progów
I narodowych gloryę ołtarzy,
Przestańmy szukać cudzoziemskich bogów!

Błogosławieństwem tych tylko Bóg darzy,
Których, pomimo łzawej życia doli,
Praca dla dobra Ojczyzny kojarzy.

I żyźniąc potem łan ojczystej roli,
Świecą przykładem, jak się trzeba mierzyć
I wyuzdanymi gwałtami niewoli.

O bracia moi! chciejcie tylko wierzyć,
Że jeśli obcym nieść będziem swe siły,
Miasto u siebie „w czynów stal“ uderzyć,

Własnej ham braknie ziemi na mogiły,
A potyrane marnie nasze kości,
Na obcych śmieciach będą się bieliły.

Bo kto dla próżnej światowej marności
Od poświęcenia przodków stroni śladów,
Wzgardzonym będzie w życiu i wieczności.

Ach, czyż do zasług i wzniosłych przykładów
Brakło nam miejsca na tej drogiej niwie,
Którą wzruszyły sochy naszych dziadów?...

Braciom bezdomnym już najmniej się dziwię,
Że nieświadomie idą w służby cudze;
Lecz iluż to jest takich, co szczęśliwie

Mogą żyć w kraju i słynąć w zasłudze —
A cudzym bogom idą bić pokłony,
I kalać imię w brudnych mętów strudze...

O strony moje, ojczyste wy strony!
Strzecho rodzinna, zagony kłosiste,
Lesie, w poszumie cichym rozmodlony,

Wy łąk przewonnych kobierce kwieciste,
Krzyże omszałe, groby i kurhany,
Góry, niziny i zdroje srebrzyste!

Ja was nie rzucę, by w świat iść nieznany
I sił ostatek dla obcych marnować,
Bom wieczną z wami miłością związany!



Pragnę wśród swoich dla swoich pracować
I krzesząc iskry na dni jasnych zorze,
W ziszczenie dążeń nadziejom hołdować.

A gdy trud życia przy końcu mnie zmoże,
Grób w ziemi ojców będzie nam pokojem
I miłosierdzie spocznie na mnie Boże.

Bo szczątki moje staną się podgnojem
Na ojczystego pola zagon żyzny
Moich pradziadów krwią bujną i znojem —
Pod kłosek ziarna ku chwale Ojczyzny.

„Arka“.

WYCHODŹCOM DO PRUS.

Hej wy! co to ojczyste rzucacie zagony
I spieszycie w kraj obcy, wrogom na usługi!
Pomnijcie, że i u nas są pługi i brony,
A pracy nie zabraknie, gdzie pola i strugi.

Pomnijcie, że ta ziemia to Ojczyzna droga,
Nieszczęsna, bo niewoli okuta łańcuchem;
A wy, zamiast Jej służyć, modlić się do Boga,
Opuszczacie Ją marnie, za lada podmuchem.

Na hańbę ojcom naszym, wrogom na uciechę,
Zaciskacie obrożę, co Jej serce krwawi,
Porzucacie zagony i rodzinną strzechę,
A nam serce boleje i oko się łzawi...

Jeszcze pomrok zakrywa świt jutrzenki złoty,
Jeszcze światło nauki nie dotarło wszędzie,
Gdyż złych nawyknień zwalczać nie mamy ochoty,
A kto tylko zapragnie łatwo nas posiędzie.

Gdy cię nędza wygania z chaty w świat szeroki
Idź! Ale wracaj takim, jak wyszedłeś z sioła;
Zachowaj w sercu miłość, w duszy żal głęboki
Za Matką, a zepsucie sięgnąć cię nie zdoła.

Stój na straży języka, jęk dogmatu wiary!
Nie popisuj się mową, której nie rozumiesz!
Szanuj ten strój rodzinny i obyczaj stary,
A okażesz tej ziemi, że ją kochać umiesz!

Józef Jarmuła.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

4. Historya Simonidesa.



Zaledwie Ben-Hur opuścił komnatę, twarz Simonidesa rozjaśniła się, oczy zabłysły.

— Estero, zadzwoń prędko, natychmiast — zawołał z wielkiem ożywieniem.

Otworzyły się ukryte w murze drzwi, wszedł sługa i skłoniwszy się czekał na rozkazy.

— Malluch! zbliż się do mego krzesła — rzekł Simonides rozkazująco. — Słuchaj! Przed chwilą wyszedł stąd młodzieniec wysoki, smukły, pięknej postawy, ubrany po żydowsku; będziesz go śledził; jako cień postępować będziesz za jego krokami. Co wieczór mam wiedzieć gdzie jest, co robi i z kim przestaje. Będziesz podsłuchiwał jego rozmowy i powtórzysz mi je potem słowo w słowo. Dowiesz się, jaki jego charakter, obyczaje; co robił dawniej, co zamierza robić teraz i na przyszłość.

Malluch skłonił się i wyszedł.

— Jaki mamy dzień dzisiaj — pytał Simonides, zacierając z radości chude ręce — chcę go zapamiętać, bo zwiastuje nadejście wielkiego szczęścia; czekaj na nie w radości, o córko! Tak, tak, moje dziecię. Jest to dwudziesty dzień czwartego miesiąca. Dziś pięć lat temu osierociła nas Rachel, matka twoja. Przyniesiono mnie do domu połamanego przez tortury. Przerażenie i rozpacz zabiły ją. Pochowaliśmy ją w grobie wykutym w skale. Odchodząc, pogrążyła mnie w ciemnej nocy, lecz oto przez ciemności przedarł się jasny promień i ten promień z biegiem lat stał się jako blask poranku.

Podniósł rękę i oparł ją na ramieniu córki.

— O wielki Boże! — mówił, wznosząc oczy do nieba. — O Panie wszechmocny a litościwy! dzięki Ci niech będą, że w tej oto latorośli odrodziła się Rachela, żona moja.

Tu umilkł i zdawał się wpatrywać we własną duszę, lecz wkrótce otrząsnął się z zadumy.

— Wszak dzień biały jest na dworze?

— Był dzień biały i jasny, gdy młodzieniec przestępował ten próg.

— Przywołaj Abimelecha, niech mnie zawiezie do ogrodu; tam powiem ci, o córko, dlaczego przed chwilą usta moje uśmiechu były pełne, a serce skakało mi w piersi.

W odpowiedzi na dzwonek wszedł sługa i potoczył fotel, umyślnie w tym celu postawiony na kółkach, na dach domu, zwany ogrodem.

Przez krzaki róży i mirtu, przez drzewa pomarańczowe, Simonides kazał się zawieźć aż do miejsca, z którego mógł ogarnąć wzrokiem szczyty pałaców na przeciwległej wyspie, most i rzekę, pokrytą statkami.

Tu sługa zostawił go sam na sam z Esterą.

Estera, oparłszy się na poręczy fotelu, czekała aż ojciec przemówi. Zabrał wreszcie głos w zwykły sobie, poważny sposób.

— Uważałem — rzekł — żeś słuchała młodzieńca z żywem zajęciem i że zjednał cię sobie od jednego słowa.

— Jeśli chcesz przez to powiedzieć — odparła rumieniąc się — że pozyskał u mnie wiarę, tak, ojcze, wierzę mu.

— W oczach twoich jest więc synem zmarłego księcia Hur? A jeśli nim nie jest, Estero?

— Słuchaj mnie ojcze. Od chwili, gdy matka moja powołana została przed oblicze Pana, byłam ci jako służebnica i nie odstępowałam cię na chwilę, a stojąc tak przy twoim boku, przyglądałam się ludziom rozmaitym. Przychodzili tu szukać zysku godziwego i zysków nieprawych; nauczyłam się rozróżniać prawdę od fałszu i powiadam, że jeżeli młodzieniec ten nie jest księciem, jakim się być mieni, to nigdy jeszcze kłamstwo przed oczyma memi nie przemawiało tak wymownie słowami prawdy.

— Więc sądzisz, że ojciec twój był sługą jego ojca?

— O ile mogłam zrozumieć, zapytywał o to, jak o coś, czego sam nie był pewnym.

— Ha! moja córko! masz wrodzoną przenikliwość dzieci Izraela. A więc słuchaj! Opowiem ci o sobie, o twojej matce i wielu rzeczach przeszłych, to, com starannie ukrywał przed Rzymem z obawy prześladowań i w nadziei lepszej przyszłości i przed tobą! Teraz możesz już wysłuchać tych smutnych dziejów. Urodziłem się w jaskini, w dolinie Hinnom, na południowym stoku Syonu. Rodzice moi strzegli drzew figowych i oliwnych w królewskich ogrodach, przy sadzawce Siloa. W dzieciństwie pomagałem im. Należeli oni do klasy ludzi, skazanych na wieczyste niewolnictwo. W piętnastym roku życia sprzedano mnie księciu Hur, najbogatszemu człowiekowi w Jerozolimie. Z ogrodów przeszedłem do handlu księcia w Aleksandryi, w Egipcie; tam wyrosłem na młodzieńca. Służyłem mu przez lat sześć, w siódmym, według Zakonu Mojżeszowego, odzyskiwałem wolność.

Estera klasnęła radośnie w dłonie.

— Oh! więc nie jesteś sługą jego ojca? — zawołała.

— Słuchaj dalej, córko. Otóż w owych czasach, w przedsionkach świątyni uczeni doktorowie wiedli spór o to, czy dzieci, zrodzone w niewolnictwie, powinny, jak ich rodzice, pozostawać w wieczystej niewoli; lecz książę Hur był we wszystkich względach człowiekiem szlachetnym i sprawiedliwym; pojmował on Zakon w najprostszem jego, jedynie właściwem znaczeniu; rozumiał, że jako niewolnik kupiony, po upływie tych lat mam prawo do wolności i dał mi ją dokumentem pisemnym, który do dziś dnia zachowałem.

— A moja matka? — spytała Estera.

— Cierpliwości, dziecię moje, dowiesz się o wszystkiem i zobaczysz, że łatwiej mi było zapomnieć o sobie, niż o twojej matce. Pod koniec mojego niewolnictwa przybyłem do Jerozolimy na święto Paschy. Mój dawny pan podejmował mnie w swym domu jako gościa. Kochałem go już wówczas i prosiłem, żeby mnie wziął i nadal do swej służby. Przystał na to i służyłem mu znowu przez lat siedem, lecz jako płatny najemnik. W jego imieniu prowadziłem liczne przedsiębiorstwa na morzach i liczne interesy na lądach. Podróże to były niebezpieczne, lecz Pan błogosławił wszystkiemu, do czegom przyłożył rękę. Wracałem, za każdym razem wzbogacając pana mego w wielkie zyski, a siebie w doświadczenie, bez którego nie mógłbym dziś kierować różnorodnymi interesami, co spadły na moją głowę. Pewnego dnia byłem gościem księcia w domu jego w Jerozolimie. Siedzieliśmy przy stole, gdy do komnaty weszła służebnica, niosąc na tacy chleb i wino. Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem twoją matkę i od pierwszego wejrzenia pokochałem ją na wieki. Prosiłem księcia, aby mi ją dał za żonę. Odpowiedział mi, że była niewolnicą wieczystą, lecz jeśli tego pragnie, da jej wolność, aby mnie nagrodzić za moją pracę i trudy. Ona kochała mnie również silnie, jak ja ją, lecz dobrze jej było w domu tym i w tej służbie i nie chciała wolności. Prosiłem ją i błagałem, lecz odpowiedź jej była zawsze ta sa-

ma: będzie moją żoną, lecz wpierw muszę się stać równym jej niewolnikiem. Wszak ojciec nasz, Jakób, służył lat siedem i jeszcze siedem dla słodkiej swojej Racheli. Czyż nie mogłem tego uczynić dla mojej? Ale matka twoja chciała, żebym służył wiecznie. Oddaliłem się, po to tylko, aby powrócić znowu. Zostałem niewolnikiem.

— W kilka lat potem pan mój zginął na morzu — mówił dalej Simonides. — Dom jego okrył się żałobą i w moim tu, w Antyochii, zapanował żal głęboki i nieutulony. A teraz słuchaj bacznie, moja córko. W chwili, gdy książę rozstał się z tym światem, byłem zarządcą wszystkich jego dóbr. Osądź z tego, jakie było jego do mnie zaufanie. Skoro wieść o jego zgonie doszła do moich uszu, pospieszyłem natychmiast do Jerozolimy, aby zdać rachunki przed wdową. Księżna zatwierdziła mnie na zajmowanym dotychczas urzędzie. Sprawowałem go nadal, z większym, jeśli to było możebne, zapałem. Bogactwa Hurów wzmagały się z rokiem każdym. Tak upłynęło lat dziesięć. Potem zdarzył się ten wypadek, jak utrzymuje młodzieniec, prokuratorowi Gratusowi. Rzymianin twierdził, że był to zamach obmyślany zgóry. Pozór ten posłużył mu do zagarnięcia całego majątku wdowy i dzieci. Aby módz w spokoju używać ich mienia, zgładził z powierzchni ziemi tych wszystkich, co mieli do niego prawo. Odtąd nie słyszano już o rodzinie Hurów. Syn, którego widziałem jeszcze dzieckiem, został zesłany na galery; równało się to wyrokowi śmierci. Wdowę i córkę — takie jest powszechne mniemanie — wrzucono do jednego z tych więzień, co gdy się raz zamkną za nieszczęśliwymi, nie otwierają się już za ich życia.

Oczy Estery były łez pełne.

— Podążyłem do Jerozolimy, sądząc, że mogę być użytecznym pani mojej w tem jej nieszczęściu. Schwytano mnie u bram miasta, uprowadzono do podziemi twierdzy Antonii — dlaczego — nie wiedziałem. Aż przyszedł sam Gratus i zażądał odemnie pieniędzy Hurów. Znał obyczaj kupiecki Żydów, według którego kapitały te mogły być podjęte jedynie za mojem pisemnem upoważnieniem. Żądał moich przekazów na wszystkie domy handlowe pana mego, rozrzucone po całym świecie. Odmówiłem. Wziął mnie na męki. Połamali mi kości, lecz nie zdołali przełamać mego milczenia. Gratus, widząc, że nic nie wskóra, wypuścił mnie na wolność. Powróciłem do domu. Odtąd wszystkie przedsiębiorstwa prowadzone były nie na imię księcia Hur z Jerozolimy, lecz kupca Simonidesa z Antyochii. Wiesz dobrze, dziecię moje, jak szczęście sprzyjało mi stale; miliony księcia rosły w moich rękach; wiesz także, jak w trzy lata potem, w drodze do Cezarei, zostałem znowu schwytany. I znowu wzięto mnie na tortury. Gratus myślał, że teraz zmusi mnie do wyznań. Zawiódł się w swych oczekiwaniach. Złamany na ciele — duch nie osłabł we mnie nigdy — powróciłem do domu. Rachela moja, widząc mnie niedołężnym kaleką, z rozpaczy i przerażenia skonała w jednej chwili, jako kłos, podcięty ręką żeńca. Przy pomocy bożej i to przeżyłem. Dziś wolny już jestem od prześladowań. Na mocy przywileju podpisanego własną ręką cesarza, mogę prowadzić interesa w obrębie całego imperium. Dziś — niech będzie błogosławiony Ten, któremu za tron służą obłoki i który żeglując po nich, jak po morzu — dziś, o Estero! majątek, którym zarządzam, mógłby wzbogacić samego cesarza.

Podniósł dumnie głowę: oczy ich spotkały się; czytali wzajemnie swe myśli.

— Pytasz mnie, co uczynię z tymi skarbami? — rzekł, odpowiadając na jej spojrzenie.

— Ojcze! — rzekła głosem stłumionym — prawowity ich właściciel wyszedł stąd przed chwilą.

Wzrok Simonidesa nie schodził z twarzy córki.

— A ty, moje dziecię? — mówił. — Więc mam uczynić cię żebraczką?

— Czyż, jako córka twoja, nie jestem niewolnicą jego do śmierci?

Przyciągnął ją do swej piersi i trzymał tak w długim uścisku.

— A więc, słuchaj mnie — rzekł głosem drżącym od wzruszenia — i dowiedz się, dlaczego dziś rano byłem tak wesół i szczęśliwy. Młodzieniec stanął przed oczyma memi, jako żywy obraz swego ojca w latach młodocianych. Serce moje wyrywało się, aby go powitać, wziąć w objęcia. Z trudnością tłumiłem łzy szczęścia. Chciałem pokazać mu księgi, gdzie tysiące są jako ziarnka grochu; powiedzieć mu: »Patrz, wszystko to twoje, a ja jestem twym niewolnikiem, zrób ze mną, co ci się podoba«. I tak uczyniłbym, o córko! ale powstrzymywały mnie trojakie względy. Chcę wprzód być pewnym, że jest istotnie synem mojego pana; to był wzgląd pierwszy. A jeśli nim jest, zanim powierzę mu te nieprzeliczone skarby, muszę wprzód poznać jego charakter. Pomiędzy tymi, co zrodzeni są do bogactw, iluż jest takich, w których ręku stają się one klęską dla rodu ludzkiego?

Umilkł, chude jego ręce zacisnęły się nerwowo, z dziką niemal namiętnością.

— A teraz wzgląd trzeci. Ty nie znasz, słodkie me dziecię, co nienawiść. Wspomnij tylko na męczarnie, którem wycierpiał i nie od jednego tylko Gratusa. Słyszę jeszcze śmiech i naigrawania łotrów, co wykonywali jego rozkazy. Przypatrz się mym połamanym kościom, pomyśl, od ilu już lat pozbawiony jestem członków, które należą do mnie tylko przez cierpienie; pomyśl o matce twojej, tam w mogile, gdzie ją wepchnęli — oni; pomyśl o niedoli całego rodu Hurów, rozważ to wszystko, a przyzwawszy natchnienie Boskie na pomoc, powiedz mi, o córko! czy ani jeden włos nie ma spaść za tyle nieszczęść; czy nie ma popłynąć ani jedna kropla krwi na odkupienie? Oh! nie, nie mów mi, że zemsta należy do Pana! Wszak jest on Bogiem kary, również jak i nagrody. Nie Onże to ustanowił prawo: »Oko za oko, ząb za ząb?« Przez tyle lat marzyłem o zemście, modliłem się o nią do Tego, który wszechmocnym jest i nagradzając bogactwa, czekałem cierpliwie, ufając, że tak, jak prawdą, że jest On miłosierny, tak niewątpliwie obierze mnie jako narzędzie kary dla tego plugawego plemienia. A ten młodzieniec, mówiąc o tem, że się ćwiczył w sztuce robienia bronią, wspomniał, iż miało mu to posłużyć w wiadomym celu; jakkolwiek celu tego nie wyjawił, pewien jestem, że na imię mu... zemsta! I oto, Estero, dlaczego siedziałem milczący i niewzruszony, oto powód, co na usta moje kładł piętno milczenia i zasłonę obojętności na lica, i oto powód, dla którego śmiałem się tak radośnie, gdy on odszedł. Wierny Malluch poszedł za nim i przyprowadzi go, skoro tylko będę gotów na jego przyjęcie.

— A kiedy to nastąpi, ojcze?

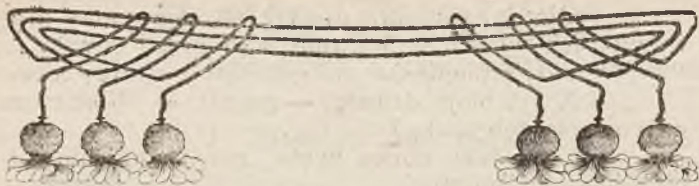
— Niebawem, niebawem. Sądzi, że wszyscy ci, co mogliby świadczyć o prawdzie słów jego, pomarli. — Żyje jeszcze jeden świadek; jeżeli młodzieniec jest istotnie synem mego pana, ten pozna go.

— Matka jego?

— Nie, dziecię, świadka tego stawię przed nim wkrótce, tymczasem sprawę tę oddajmy w ręce Bogu... Jestem zmęczony. Zawołaj Abimelecha.

Po chwili zatoczono kalekę do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Płacz na obczyźnie.

Nad brzegiem szumiącej rzeki Sekwany
Polski wygnaniec chodzi zadumany;
Stanął i słucha. Tęsknym wzrokiem rzucił
W stronę ojczystą i wraz się zasmucił:

Wicher, co leciał przez ojczyste łany,
Zaszumiał jękiem, który był mu znany,
Zaszumiał głosem pełnym smutnych wieści...
Słysząc to człek ów, zapłakał z boleści...

Ręce skrzyżował, okiem siadł na chmurze...
I smętnym głosem zawołał ku górze:
„Boże! Dlaczego wiatr tak smutnie jęczy,
Jakby duch jaki płakał potępieńczy?

Ach, gdy się zwrócę w me ojczyste strony
Wciąż słyszę, jakby pogrzebowe dzwony!
Któż w wichrze owym tak żałośnie płacze?
Ach, to Ojczyzna! me chatki wieśniacze!

Ojczyzno droga! któraś mnie powiła,
Tyś w młodym wieku mnie osierociła...
Popatrz, jak ja tu, oddalony, płaczę!
Gdzie tylko stanę, łzami miejsca znaczę.

Popatrz, jak mnie męki twe i krzyże... bolą,
Jak ja rozpaczam nad twoją niedolą!
Czemuż nie mogę, Ojczyzno, wraz z tobą
Łkać nad twym losem, nad twoją żałobą?

O gdzieżeś matko! Gdzie wieśniacze chatki
Polskie? Gdzieście łąk mieniące się kwiatki?
Gdzieś ty mi drogi domku mój ojczysty?
Gdzieś ty kochany mój orle srebrzysty?

Ja dziś daleko błądzę na obczyźnie,
Wśród obcych ludzi myślę o Ojczyźnie.
Ja tu sam jeden, sam bez duszy bratniej,
Mnie tu wygnańca w godzinie ostatniej

Nikt nie pożegna, bo tu obcy wszyscy!
W kraju zostali wszyscy moi blizcy...
Nad mą mogiłą nie załka wierzbina,
I nie zaszumi swym śpiewem... kalina.

O wierzbo moja! nad strzechą słomianą,
Coś grała piosnki, gdym się budził rano,
Zagraj tak silnie listeczkami swemi,
Bym śpiew twój słyszał tu, — na obcej ziemi!

Wyśpiewaj wszystkie mej ojczyzny rany,
Bym tu wśród obcych, nikomu nieznany
Duszę napoił twemi wspomnieniami
I krew twą obmył synowskiemi łzami!“

Tu się rozrzewnił, usiadł na kamieniu
I ciężką głowę oparł na ramieniu.
Zasnął. Ach! zasnął tułacz w obcej ziemi;
Nikt go nie widzi — on między obcymi!

Zasnął na wieki pełen swej boleści,
A choć do kraju doszły smutne wieści,
On pośród obcych pozostał na wieki,
Nawet po śmierci od swoich daleki!

Józef Kobylański

Gawędy o Różnych Sprawach.

PRUSAKI.

Jednych bieda, drugich ciekawość, a trzecich głupota wygania z domów rodzinnych na tułaczkę po szerokim świecie. Jadą więc ludziska w obce kraje za zarobkiem. Tułają się po Prusach, Danii, Francyi i innych krajach europejskich, a inni zaś płyną za morze do Ameryki, aby tam ten upragniony grosz znaleźć. I znajdują, choć nie wszyscy jedno.

Niektórzy przyszlą do kraju parę setek, a może i tysiączek, a w zamian zostawią zdrowie i siły w Ameryce; inni znajdą tam chorobę; a jeszcze inni przekonają sie, że bieda i za morzem ich nie opuściła. Jeszcze może najszczęśliwsi ci, których tam, za morzem, śmierć do snu wiecznego ukołysała.

Biedni ci, którzy jechać muszą z biedy za morze szukać kawałka chleba. Nad ciekawymi można ubolewać, ale głupców niema co żałować.

Ale trudno wydziwić się ludziom, jadącym do Prus za zarobkiem. Pominąwszy to, że tam Polacy i katolicy często u Szwaba i heretyka pracować muszą; pominąwszy, że takie pruskie zarobki sieją jad i zgniliznę pośród naszej młodzieży; pominąwszy i to, że robotnicy nasi są tam traktowani jak bydło; ale to zadziwia, że chociaż w Prusach zarobki w stosunku do pracy nie są większe niż u nas, a przecież tyle ludzi tam wyjeżdża.

Gdybyś u nas tak pracował jak w Prusach, to każdy chętnie tyle by ci zapłacił, co i w Prusach. Tam z brzaskiem dnia trzeba wyjść do pracy, a ze zmrokiem wracać. Stoi nad tobą dzień cały nadzorca z kijem, a choć nim nie smaga po plecach, ale za byle jaką opieszałość od roboty odpędzi i za dni kilkanaście nie zapłaci.

Taki nadzorca, to pan twego życia. Jego klątwy trzeba znosić w milczeniu, a nieraz może i odpłacać uśmiechem, a czasem i cnotą a niewinnością zapłacić. — Oj smutny los naszych córek w Prusach!

A gdy nadejdzie niedziela, zbiera się gromadka robotników polskich przed gospodą, a ci co Boga w sercu jeszcze mają, radziby ukorzyć się przed nim i smutki swoje złożyć u stóp jego. Lecz stoją zamyśleni. Gdzież skierują swe kroki, kiedy w wiosce tej niema kościoła, tylko zbór luterski. Do kościoła katolickiego i to niemieckiego, mil kilka.

Smutna stoi gromadka i marzy o rodzinnej wiosce. Gdzież teraz się udadzą? co zrobią z całodziennym spoczynkiem? Ha, Maciuś pójdzie na wódeczkę; Bartek spać do izby, Kaśka z Jaśkiem na gzy i rozpustę.

Ot, i tak kwiat naszej młodzieży wraca zimą do rodzinnych chat w krawatce i łańcuszku na piersiach, w surducie, który Prusak na śmieci może wyrzucił, ale zarazem wraca z sercem zepsutem. To nie Polak! to nie Polka! — wrócili do domu. To wrócili — Prusaki!!

I jakiż ostateczny wynik z powyższych uwag? Czyż koniecznie mamy zaprzestać wyjazdu za granicę za zarobkiem? Nie, i jeszcze raz nie, bo temu, jak obecnie, przeszkodzić się nie da, ale trzeba bezwarunkowo zwrócić uwagę na to, gdzie jechać i kto ma jechać. Unikać więc trzeba przedewszystkiem tych miejsc, gdzie wiary naszej nie szanują, gdzie narodowość naszą lekceważą, gdzie człowieczeństwo nasze poniewierają. Tam nie trzeba jechać.

A teraz pytanie: Kto ma jechać? Otóż ten tylko, kto bezwarunkowo w kraju zarobku stosownego znaleźć nie może, ale wprost zbrodnią jest, puszczać w Prusy na lampartkę młodzież naszą, która stamtąd tylko zgniliznę moralną przynosi.



Spotkanie Lecha, Czecha i Rusa.

Zwyczaje niedźwiedzi.

W gazecie poświęconej myśliwstwu »Łowiec polski«, znajdujemy bardzo ciekawy opis, jak się zachowują niedźwiedzie, staczające walkę z człowiekiem. Czytamy tam takie szczegóły: W różnych krajach i okolicznościach poznałem niedźwiedzia. Oprócz zabitych przez siebie, byłem świadkiem i uczestnikiem niezliczonej ilości obław, jak np. u ś. p. Augusta hr. Potockiego, gdzie jednej zimy w Berezynie, na Litwie, było złożonych 12 niedźwiedzi, do których saneczkami dojeżdżało się codzień do innego barłogu (zimowe leże niedźwiedzie). Polowanie trwało prawie trzy tygodnie. Między zabitymi przezemnie były, mojem zdaniem, dwa gatunki, nazywane miejscową mową »białoszyjniki« — z białą łatą formy księżyca na karku, ogromne, ciężkie niedźwiedzie, dochodzące 6 cetnarów wagi i wyżej, i »mrówczane«, wzrostu małego, nadzwyczaj złe i ruchliwe, ale nie przechodzące wagi 3 cetn. Ubarwienie, tak jednych, jak i drugich, było od całkiem burych do zrzadka zupełnie czarnych okazów. Między mymi niedźwiedziami 4 były zabite na ludziach, na których rzuciły się po zranieniu. I, pomimo tego, nigdy nie widziałem i nie słyszałem, żeby niedźwiedź stawał na dwóch łapach i tak się rzucał na człowieka. Dalej objaśnię, kiedy niedźwiedź tak staje.

Zwykle niedźwiedź rzuca się na strzelca, stuliwszy uszy, z głową wciśniętą między przednie nogi, i łapą chwyta za nogi strzelca i zaczyna drzeć pazurami, prawie nigdy nie gryzie. Miałem taki wypadek w lasach litewskich. Ładna sztuka wyszła z gęstego poszycia i galopem szła prosto na mnie. Dopuściłem niedźwiedzia na 20 kroków, i — ku wielkiemu memu wstydowi, zgórowałem; kula zdarła mu tylko kawał skóry. W jednej chwili niedźwiedź się zmienił i z dobrodusznego misia zrobił się wściekły; tuląc uszy pod siebie, dużymi susami, z pałającemi oczkami, rzucił się na mnie. Na szczęście, prawie wypadkowo, z drugiej lufy trafiłem go w ostatniej chwili w nasadę szyi, w kość pacierzową; padł jak piorunem rażony, ale już chwycił mię za nogi, choć nieszkodliwie.

Mojem zdaniem, nigdy inaczej nie bywa. Na dowód przytoczę zdanie sławnego myśliwego, który sam zabił 118, czyli nawet więcej niedźwiedzi. Jest to książę rosyjski Szyryńskij-Szachmatow, który mówił, że skoro tylko zasłyszał o tem, że ktoś chodzi na niedźwiedzia z dzidą, jechał tam, ale nigdy takiego myśliwego nie znalazł. I jest to zupełnie naturalne, bo niedźwiedź atakuje, co mu zresztą nie często się zdarza, zawsze na czterech łapach i chwyta jedną łapą za nogi, albo wpół; a trudno, zdaje się, byłoby go w grzbiet kłuć. Prawda, że w cesarskich obławach, szczególniej za cara Aleksandra III, który był sławnym myśliwym olbrzymiej siły, stawało obok niego dwóch t. zw. »obrońców«, ludzi szalonej mocy, którzy, w razie niepewnego strzału, na chwilę zatrzymali dzidami niedźwiedzia, by dać czas strzelcowi. W Syberyi znów, gdzie niedźwiedzie zwykle kopią głęboki dół na barłóg i śpią bardzo mocno, tam idzie dwóch, trzech chłopów, z których jeden z toporem w ręku, staje przy otworze barłogu, a drudzy wypędzają go z legowiska; gdy głowę wytknie, pierwszy ją rozpłatuje toporem. Jest to rzeź nie polowanie. Niebezpieczeństwa żadnego niema, bo oni przedtem zatykają żerdzią otwór i mają zupełnie dosyć czasu, zanim niedźwiedź złamie lub przegryzie żerdź, uderzyć go toporem.

Co do stawania na tylne łapy, to też nieraz widziałem to np. w owsie, kiedy niedźwiedź staje dęba i ogląda się na wszystkie strony, w jagodach, szczególniej w gęstych, krzakami dzikiej maliny zarosłych miejscach, które niedźwiedź bardzo lubi, co chwila staje na łapach za każdym szmerem i ogląda się, żeby, uspokoiwszy się, zabrać z apetytem do smacznej jagody. Wogóle uważam, że niedźwiedź wtedy wstaje, kiedy chce się przyjrzeć, posłuchać, albo gdy go coś zainteresuje.

Przed 15 laty w olbrzymich lasach rządowych Borysowskiego leśnictwa było bardzo dużo niedźwiedzi. Lasy te były w procesie, więc ich nie rąbano i był to raj dla łosi i niedźwiedzi. Przepływała tamtędy rzeka Berezyna, do której masa strumyków i mniejszych rzeczek wpadała, a w ujściach ich do rzeki bardzo dobrze poławiały się okonie i ja często malutką łódką wybierałem się tam z wędką. Kiedyś znalazłem się tam o świcie, gdy naraz słyszę trzask; myślałem, że to może idzie leśnik, który też był amatorem wędki. Tymczasem nie. O jakieś 60 kroków od łódki, która dobrze była w krzakach schowana, nad strumień wyskakuje para niedźwiadków, a za niemi poważna mama. Niedźwiadki stanęły przed wodą, ze strasznie głupiemi minami, a wtedy matka jednego i drugiego popchnęła do wody. Strumień był zupełnie płytki, więc trójka rozkoszowała się kąpielą. Wiatr był słaby od nich ku mnie, więc ani do głowy im nie przychodziło, że ktoś je podgląda.

Po kilku czy kilkunastu minutach wylazły na brzeg, a że słońce już silnie przygrzewało, więc małe ułożyły się a matka zaczęła je oblizywać. W tej chwili przyszła mi myśl, że trzeba sprawdzić to, o czem już dawniej wiedziałem, że niedźwiedź staje na tylne łapy w chwili, gdy się czemś zaciekawi. Klasnąłem więc w dłonie. Cała trójka porwała się od razu na nogi, a niedźwiedzica stanęła na czterech nogach i widocznie niespokojna, wpatrzyła się w moją stronę. Łódka i ja byliśmy schowani za niskim krzakiem. Wtedy niedźwiedzica wstała na tylne łapy, ale natychmiast mnie zobaczyła i z cichem mruczeniem kłusem poszła w gąszcz za małemi, które od razu tam uciekły.

Jednem słowem widziałem dużo niedźwiedzi, rzucających się na ludzi, ale zawsze w taki sposób, jak to opisałem, a nigdy stojąc na dwóch łapach.

Zabawną byłoby rzeczą, żeby taka machina, gdy ją dzieli 5—6 kroków od strzelca, wstawała na łapy. Dość przypatrzeć się w cyrku, jak one, stojąc na dwóch łapach, wolno idą. A niedźwiedź jest bardzo szybki, szczególniej gdy się rzuca.



Do Braci Pieśniarzy!

Hej Bracia, rówieśni
Po pługu i pieśni,
Siermiężni, siół polskich bardowie!

Śpiewajmy miłośnie,
Aż hen rozgłośnie,
Cała Brać w Ojczyźnie odpowie!...

Hej Bracia Pieśniarze!
Serdeczni żniwiarze...
Przy pracy oraczej, wśród znoju,

Niech gminna pieśń płynie,
Po polskiej krainie,
Budzi Brać do życia, do boju...

Hej Bracia, miłośnie,
Śpiewajmy rozgłośnie,
Złączmy pieśń w akordy przeczyste,

Brać pójdzie za nami
Z naszemi pieśniami,
Na to wielkie, żniwo ojczyste!...

Jantek z Bugaja.

Milion albo śmierć.

Najczęściej zdarza się u ludzi rodzaj obłąkania, zwany manią wielkości, który objawia się w ten sposób, że dotknięty niem człowiek ogłasza otoczeniu, że jest królem, cesarzem, papieżem lub wcgóle niezmiernie wysoko postawioną osobistością. Tacy umysłowo chorzy nie bywają zazwyczaj niebezpieczni; trzeba tylko ich honorować stosownie do mniemanej ich godności, kłaniać się im nisko, nie zbliżać się poufale, tytułować z całą po wagą i uniżonością: Najjaśniejszy panie, albo Wasza Królewska Mości a obłąkany nic złego nikomu nie zrobi. Rozdrażnieni, rzecz prosta, mogą być niebezpieczni, zwłaszcza jeśli są silni lub mają w ręce broń. Często tacy chorzy przebywają w domu i nie są zamykani do zakładów dla obłąkanych.



Niedawno pewien zamożny Anglik, mężczyzna w średnim wieku, uroił sobie, że jest wnukiem królowej Wiktoryi a bratem obecnie panującego króla Jerzego. Napisał sobie poświadczenie stwierdzające, że on to właśnie jest tym synem królewskim i przed kilkunastu dniami, wziąwszy z domu potajemnie rewolwer, udał się do biur Banku angielskiego w Londynie.

Gdy przed okienkiem kasyera zjawił się wytwornie ubrany jegomość w błyszczącym cylindrze na głowie, ten zapytał, czego sobie życzy. Przybyły spojrzał nań surowo i rzekł:

— Nie poznajesz mnie pan?

— W istocie, nie mam przyjemności znać pana.

— Widzę, widzę, bo siedzisz, jak tuman na stołku, nie wiesz, że rozmawiasz z Królewską Wysokością.

Kasyer spojrzał uważnie na gościa, dziwny jego wzrok wydał mu się podejrzanym, przeleciało mu przez myśl, że to pewnie waryat, który może być niebezpiecznym, wstał więc, ukłonił się w pas i rzekł pokornie:

— Daruje Wasza Wysokość, ale mam wzrok krótki i często znajomych zbliska nawet nie poznaję.

Obłąkany odparł:

— Wybaczam łaskawie w królewskiej wspaniałomyślności a oto dowód, że w istocie jestem tym, za kogo się przedstawiłem.

To mówiąc, wręczył mu papier.

Przeczytawszy »poświadczenie« kasyer najzupełniej się upewnił, że to waryat. Z głębokim ukłonem oddał gościowi papier i zapytał, czemu przypisać ma zaszczyt, że Królewska Wysokość sama trudziła się tutaj do banku?

Obłąkany na to:

— Masz mi pan zaraz wypłacić milion funtów szterlingów!

Gdy kasyer przez chwilę milczał, zaskoczony tak szalonem żądaniem, mniemany brat królewski wyjął rewolwer i zawołał:

— Milion albo śmierć! W tej chwili! Dawaj pan, zanim doliczę do trzech! No — raz...

— Ależ Królewska Wysokości, takiej sumy w tej kasie tutaj niema! To nie jest przecież kasa główna.

Przysłuchiwał się tej rozmowie tajny agent policyjny, który stale obok kasy miał służbę.

— Proszę pana — rzekł kasyer do niego — zaprowadzić Królewską Wysokość do centralnej kasy, tam natychmiast sumę żądaną wypłacą.

Zanim się obłąkany spostrzegł, agent pochwycił go silnie za rękę, dzierżącą rewolwer, wyrwał mu go bez ceremonii, woźny bankowy pochwycił za drugą rękę i tak z paradą Królewską Wysokość sprowadzili na ulicę, a potem zawieźli do zakładu dla umysłowo chorych.

Cztery konkursy „Roli".

Jak wiadomo większej części naszych Czytelników w Kalendarzu »Roli« na rok 1911 ogłosiliśmy cztery konkursy. Ponieważ jednak Kalendarza »Roli« zabrakło nam dla wszystkich, wskutek czego niektórzy otrzymali kalendarz »Polak«, w którym warunków konkursowych nie było wydrukowanych, przeto powtarzamy je dzisiaj ponownie. A więc:

I. Konkurs na wiersz

w rozmiarach 24 do 60 wierszy druku, treści dowolnej, patryotycznej, a więc wiersz z okazyi rocznicy narodowej, o miłości ojczyzny itp.

II. Konkurs wesołych ludzi

na opowiadanie treści zabawnej, koniecznie przyzwoitej, w rozmiarach nie przekraczających 140 wierszy druku (1 strona »Roli«). Treść dowolna, najlepiej z życia wzięta i pisana gwarą ludową.

III. Konkurs na powiastkę

w tych samych rozmiarach co poprzednio. Mogą to być legendy opowiadane przez starszych ludzi, opowiadania z życia ludu wiejskiego, przygody na emigracyi (w Ameryce i na »Saksach«) spisane językiem książkowym lub gwarą ludową.

IV. Konkurs korespondentów,

na wiadomości kronikarskie o różnych ważnych zdarzeniach w gminie lub powiecie, jak np.: Uroczystości religijne: przyjazd biskupa, poświęcenie kościoła; Uroczystości narodowe: obchody, rocznice, otwarcia szkół, czytelń, stowarzyszeń; nadzwyczajne lub nieszczęśliwe wypadki we wsi: pożary, nagłe zgony, wielkie kradzieże itp. Korespondencya musi być pisana jak najprędzej a więc tegoż dnia lub nazajutrz.

O nagrodę może się ubiegać każdy prenumerator »Roli«. Na liczne prośby **przedłużamy termin wszystkich konkursów do końca bieżącego roku.** A więc wszystkie prace przesłane i drukowane w roku 1911 zaliczamy do prac konkursowych, a prace same dokładnie zapisujemy w osobnej książce. Artykuły i wiersze podpisujemy nazwiskiem autora, zaś notatki kronikarskie znaczymy na początku początkowemi literami imienia i nazwiska nadsyłającego.

Dla każdego z tych konkursów przeznaczyła redakcya »Roli« **po dwa dzieła,** jako nagrodę pierwszą i drugą, zaś po dwie nagrody trzecie, które stanowić będą oprawne roczniki »Roli« z 1910 r., lub na życzenie inne książki takiej samej wartości.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Smutna doba, na której tle piszemy niniejszą powieść, zostawiła po sobie mnóstwo podań, wspominków w ustach ludu. Najwięcej gadek pozostało o hersztach hajdamaków. Do szeregu takich należał podówczas Hriszko Kosowski, o którym, jeżeli czytelnik pamięta, często Zbigniewowi wspominała Magda. Kto on był, skąd się zjawił, nie wiedział nikt. Był atamanem sporej gromady mołojców, palił, rabował, rozbijał, jak każdy ataman hajdamacki. — Robił zgoła co mu się żywnie podobało, panował nad daną okolicą. Bano go się jak ognia, gdzie tylko się zjawił, słuchano, co rozkazywał. Szlachta na futorach mieszkająca, starała się niejednokrotnie pochwycić Hriszkę, i w tym celu robiła wycieczki, które atoli nie odnosiły pożądanego skutku. Hriszko zawdy potrafił się wywinąć, w czas wymknąć, nieraz miano go w ręku, gdy nagle znikał a po niejakim czasie znowu wypadał z dziwną czelnością.

Zdawałoby się komu, że człowiek podobny stałego zamieszkania mieć nie mógł, z obawy, aby go nie ujęto. Hriszka przeciwnie. Zbudował sobie chatę w niedostępnej miejscowości i w niej przepędzał czas spoczynku. Stała ona chata w puszczy leśnej, pomiędzy skały wciśnięta, otoczona rzędem szałasów, skleconych byle jak, za mieszkanie dla »mołojców«*) służących. Była niewielka, zbudowana pospiesznie, znać że budujący nie miał zamiaru w niej wiekować. Za narzędzie przy budowie używano wyłącznie siekiery. Tą ścięto kilkaset sztuk drzew, ociosano je, ułożono w czworobok, porobiono otwory i gotowa wyglądała z pomiędzy skał i drzew jak zwierz drapieżny, zaczajony w oczekiwaniu zdobyczy. W pobliżu nie przechodził żaden szlak, stała niby od całego świata odcięta.

Gdy wchodzimy do niej, znajdujemy gospodarza w domu, wraz z całą gromadą podwładnych. — Prowadzili oni życie wesołe, mając podostatkiem wszystkiego. Z szałasów gwar wybiegał, odgłosy piosnek, śmiechy. Mołojcy to leżeli na ziemi, to siedzieli na kłodach przed rozpalonemi ogniskami, jadło i gorzałkę można było w każdym szałasie spostrzedz. Jeno w chacie samego atamana cisza panowała poważna. Sam Hriszko siedział na przyzbie wpół pijany, łokcie na kolanach wsparł i myślał, zapatrzywszy się w gęstwinę lasu. Chłop był barczysty, krzepki, rozrosły, głowę nosił nieco do prawego ramienia przechyloną. Długie wąsy spadały mu na piersi, z twarzy ponurej, nachmurzonej, złowrogiej oczy zezowate łyskały groźnie, zdawały się pioruny ciskać. W całej jego postaci nie było nic bohaterskiego, chyba oznaka siły, którą snać posiadał w wysokim stopniu. Miał na sobie żupan krótki, z bogatej materyi — widocznie łup z jakiejś wyprawy — buty kozłowe i hajdawery również z bogatej materyi, wszystko to atoli było zbrukane, poplamione — co dowodziło, że Hriszko o porządek mało dbał.

Siedział na przyzbie chaty i myślał... od czasu do czasu pociągając z flaszy przed nim stojącej. Mołojcy przechodzili koło niego zdaleka, nie przerywając tej zadumy. On siedział jak posąg, jeno powiekami żywą istotę zdradzając. Noc zaszła, ataman nie myślał o spoczynku.

Z chaty wyjrzała rozczochrana głowa starej kobiety, istnej wiedźmy, o wyschłych policzkach, zapadłych oczach.

— Batko,*) chodź do izby... wieczerza czeka — ozwała się piskliwie.

— Poszła! — mruknął ochrypłym głosem ataman.

— Wystygnie i znowu gniewać się będziesz...

— Poszła, stara wiedźmo! Chcesz, żebym ci kości policzył!...

Tchnął mocno, splunął, ale wstał, wyciągnął się, poskrobał w łeb, następnie obie ręce do ust przyłożył.

— Batoh! — huknął na cały głos, który tysiące zakątków lasu powtórzyło.

Z szałasów wysunął się hajdamak w kozackiem odzieniu, siwy, chudy, z podełba patrzący.

— Bywaj tu, stary! Ano, prędzej!

— Idę, idę... — mruczał Batoh. — Cóż ci tak pilnego do łba wlazło... Ot, skra, nie człowiek.

Skinał na niego Hriszko. — Obadwaj weszli do chaty. Niespodziewanie zapełniona była izba różnorodnemi sprzętami, którychby się nikt nie spodziewał znaleźć, sądząc z zewnątrz. Stały tam sofy miękkie, na ścianach kobierce wisiały, obrazy i krzyże pozłociste — po kątach broń się tułała wszelkiego kształtu i wartości. W jednym kącie rozniecone ognisko, przy którem kręciła się baba, warząca w kotle strawę.

Baba zastawiła wieczerzę, do której zasiedli Hriszko i stary Batoh. Jedli w milczeniu, nie patrząc jeden na drugiego. Słychać tylko było w izbie kląskanie ust i sapanie. Batoh o powód wezwania nie pytał, czekał aż sam ataman się odezwie. Ten odsunąwszy misy, wąsy połą żupana otarł, chrząknął, splunął i lulkę zapalił.

— Wieszże ty Batoh, pocom cię tu sprowadził?

— Skądbym miał wiedzieć? — odparł, ramionami wzruszając. — Może dumkę**) masz jaką?

— Zgadłeś, dumkę sumuję... ba! od kiedy!... Wlazła mi ona do łba, przylgła i siedzi nieporuszona... spokoju nie daje. Siedziałem przed chatą, a tu do ucha mi coś zagadało... Wprost zagadało jak człowiek. Nie wiem ja sam co, może i nieczysta siła. Krzyż na siebie kładłem — nie odchodziła. Gada to do jednego, to do drugiego ucha.

— Cóż takiego?

— Jak myślisz, Batoh, gdyby tak mołojców więcej... ćmę nieprzeliczoną zebrać, możebym ja hetmanił na Zaporożu?

— Zawsze jedno i to samo powtarzasz.

— Powtarzam, bo muszę. Gada mi ktoś do ucha wciąż... Ja odpędzam, żegnam się... nie odchodzi...

— Głupia dumka, nie warta atamańskiej głowy.

Rozmarzony gorzałką Hriszko począł głośno spowiadać się z myśli.

— Co głupia? Dlaczego głupia? Albożem do hetmaństwa niezdolny? Powiedz sam!

— Choćbyś był zdolny, ale siły nie masz. Tam trzeba tysiąc tysięcy chłopa, a ty czterdziestki nie naliczysz.

— Ot właśnie też... a gdybym naliczył tysiąc tysięcy?...

Umilkli, głowy pospuszczali.

— Batoh! — ozwał się znowu Hriszko.

— Czego?

— Na hetmanabym się zdał? Co?

— Możebyś się i zdał. Wiadoma rzecz — byle siłę mieć i talary też.

*) Mołojcem czyli »młodzieńcem« nazywali Rusini Kozaków i rozbójników.

*) Tyle co »ojcze«.

**) Dumka, po rusku myśl, pomysł.

— Bah! Talary znalazłyby się. Zebrałem ich, zebrałem gromadę. A gdybym chciał, zebrałoby się więcej. Zebrałoby się, prawda?

— Możeby się zebrało — odparł Batoh, przyzwyczajony do podobnych gawęd Hriszki, który zapruszywszy głowę, o Bóg wie czem nie roił.

— Gdzież karbowańce, jak nie u żydów?... — ciągnął mrucząc Hriszko. — Niewiary szelmy, och! Was by wszystkich — do jednego — z naszej ziemi wyrzucić!

— Wyrzucić chcesz, a lecisz do nich? — wtrącił Batoh.

— Ja? Ja lecę? Kto ci to powiedział?

— A lecisz. Dziewki im sprzedajesz i sam do nich wozisz.

— Wożę i sprzedaję, bo mi za to talarami płacą.

— Et! Talara bym sam wziął, żyda zdusiwszy.

— Gdybyś znalazł. Żyd na wierzchu ich nie trzyma. Zduszę — talarów nie znajdę. Lepiej gdy mi sam da.

— Jabym tam zdusił i znalazł — przeczył Batoh. — Wiesz co, Hriszka, ty... wiadoma rzecz, skoro atamanem jesteś, słucham ciebie, bom po dobrej woli się zgodził, ale powiadam tobie, źle robisz.

— Co ty pleciesz, stary łbie?

— Powiadam, że źle robisz. Dziewki chwytasz, żydowi zaprzedajesz. Nie darmo, ale krwi chrześcijańskiej szkoda niewiernym zaprzedawać. Chrześcijaninowi sprzedasz, no, to jeszcze... ale żydowi...

— Ten płaci, a tamtenby zapłacił?

— Może i nie zapłaciłby. A wiesz ty, co żyd z dziewkami robi?

— Turczynowi odprzeda.

— Widzisz, odprzeda mu. Turczyn taki niewierny jak i żyd.

— Cóż z tego?

— Skoro niewierny, Chrystusa nie uszanuje, chrześcijankom wyrzekać się każe.



...Siedział wpół pijany...

— Mogą się nie wyrzekać.

— Hm... Turczyn do haremu za żony je skupuje a żonka jednej wiary z mężem musi być.

Nie odpowiedział Hriszko, pomyślał nieco.

— Nie ja jeden tak robię.

— I źle robisz. Atamaństwo hajdamackie co innego a wiara chrześcijańska co innego.

— Ja chrześcijanin dobry — rzekł Hriszko, żegnając się.

— Dobry powiadasz, a wiarę swoją gubisz. Takiś ty chrześcijanin?

— Nie ja pierwszy, nie ja ostatni. Może i gubię wiarę, ale bo. korbowańców mi trza.

— Masz ich do syta!

— Nieprawda. Mam, ale potrzeba mi jeszcze....

— Do czego?

— Hm... może Bóg pomoże, a hetmaństwo mi się dostanie.

— Pluń na marę, atamanie. Do hetmaństwa innego trza człowieka.

— Mówiłeś sam, żem na hetmaństwo zdatny.

— Mówiłem tak oto... Na hetmana trza... och! głowy!...

— Ano, choćby nie na hetmaństwo, talary muszę zbierać.

— Jak nie na hetmaństwo, więc do czego?

— Do czego? Hm... Ostap je weźmie.

— Ech, Ostap! Chłopiec tęgi, on sobie i bez talarów radę da.

Zjawił się na stole miód z gorzałką pospołu zmieszany, którego obaj hajdamacy pociągnęli. Hriszko nową lulkę nałożywszy, wsparł się o stół, pykał, ustami kłęby dymu puszczając.

Po chwili świstać zaczął, następnie mrucząc coś a wreszcie półgłosem zanucił. Batoh mu podciągał, z czego się utworzył dość harmonijny śpiew. Siedząca opodal kobieta rozwarła oczy, głową w takt śpiewających poruszała, wtórując im snać w myśli. Skończywszy piosnkę, jeden i drugi splunął, jeden i drugi wąsy pogładził, westchnęli obadwaj razem.

Batoh wstał.

— No, a ty gdzie? — zapytał go Hriszka.

— Spać. Oczy się kleją, na dzisiaj dosyć.

— A jabym ci jeszcze coś powiedział. Do żyda trza mi się wybrać.

– A! dziewkę mu tę zawieziesz?

— Trza zawieźć. Siedzi u mnie, siedzi... bodaj niedzielę całą. Zawieźć trza. Ślipiema jak żar... patrzy na człowieka, aż serce się rozpływa.

— Kraśna jest — potwierdził Batoh.

— Kraśna. Hm... Liczko białe, oczy modre.

— Możebyś ty ją chciał za żonkę wziąć? — roześmiał się Batoh.

Spojrzał na niego Hriszko — splunął.

— We łbie ci już gorzałka zakręciła... Za żonkę? ja?

Przeżegnał się.

— Laszki czarownice są — dodał Batoh — kto wie... Może na ciebie ona urok rzuciła? Może opętała?

— Kto wie? One to umieją. Popatrzy, popatrzy... poszepta i człowieka zgubić może.

Hriszko obejrzał się, wstał, położył rękę na ramieniu Batoha i na ucho mu szepnął.

— Wiesz, co ja widzę? Dziewka na Ostapka urok rzuciła. Zwiesił łeb chłopiec, posmutniał a zawdy do niej ciągnie.

— Hm... — ozwał się po krótkiem milczeniu Batoh. — Odwieźć ją trza, skoro tak.

— Odwieźć trza. Jeno sza... cicho... Odwieziemy ją razem.

— Jak każesz. Dla mnie i razem. Dobrej nocy.

— Z Bogiem.

Hriszko chwilę stał po środku izby, mruczał.... noc zapadła a na sen mu się nie zbierało. Czapkę na głowę włożył, obejrzał się po izbie i wyszedł z chaty. Z Batohem nie wygadał się jak należy — wyszedł szukać jakiego towarzysza do gawędy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dowcipny lis.

Mróz był trzaskający. — Wszystkie zwierzęta w lesie skryły się do swych jam i siedziały w nich ciepło, tylko wilk i lis nie mieli schronienia. W dodatku głód srogi im dokuczał.

— Smutnie to na świecie — rzekł wilk i zawył przeraźliwie auu! auu!

— Jeść mi się chce, a w lesie i na polu nic znaleźć nie można!

— Gdybyś chciał iść ze mną do wsi — szepnął lis — to mielibyśmy dobrą kolacyę! Wiem u kogo na poddaszu wiszą kawały słoniny!

— Pójdę z tobą — zawołał wilk z radością.

Lis zaprowadził go tajnemi i krętemi ścieżkami do wsi i tu, w znajomym sobie domu, wbiegli na poddasze. Ale zamiast mięsa znaleźli tylko chleb i placki, które wilkowi wcale nie smakowały.

— Nie mogę tego przełknąć — rzekł z rozpaczą i zapominając, że nie jest w lesie, zawył głośno — auu! auu!

Usłyszał to wieśniak.

— Wilk na górze! — krzyknął i porwawszy cepy, wpadł jak piorun na poddasze.

— Bij, łapaj, bij — krzyczał.

Lis, zwinny jak wąż, wyskoczył na dach i zsunął się na ziemię — lecz wilk niezgrabny nie mógł uciekać tak prędko. Wieśniak zbił go cepami tak, że go o mało nie zabił i biedne wilczysko pokrwawione, zbite, ledwie się do lasu dowlokło.

Tu spotkał lisa.

— Czekaj — zawołał — zapłacę ja ci za to! Nie puszczę cię już żywego do domu! Zjem cię — będę miał przynajmniej kolacyę!

I dobywszy ostatnich sił, schwycił lisa wpół i ciągnął go przez zamarzłe jezioro na łąkę.

Lisowi nie podobało się to wcale. Ale z wilkiem trudna była sprawa. — Próbował wydrzeć się przemocą z wilczej paszczy, lecz wilk zaciskał zęby.

Gdy się zbliżali do brzegu, ujrzał lis świeżo wyrąbaną przerębel i uśmiechnął się uradowany.

— Ach, moje rybki! — westchnął.

— Jakie rybki? — zapytał wilk.

— Tyle się tu rybek najadłem! A jakie dobre! Na całem jeziorze niema takich dobrych jak tu! — Gdybym był wiedział, że wyrąbano przerębel, nie byłbym cię prowadził do wsi.

Wilk, który bardzo ryby lubił, stanął.

— Czy ty umiesz chwytać ryby? — rzekł. — Jeżeli umiesz, to schwyć parę! Będę miał tem lepszą kolacyę!

— Chętniebym to uczynił, ale ryby znają już zanadto dobrze mój ogon...

— Jakto ogon? — zapytał wilk zdumiony.

— A tak. Gdy chciałem jeść ryby, wpuszczałem ogon w wodę. Ryby uwieszały się u niego, i gdy czułem, że ich dosyć, wyciągałem ogon prędko i zjadałem je. Ale teraz one mnie już znają! — Chybabyś ty spróbował?

Wilk łakomy usłuchał go. Usiadł nad przeręblą, wpuścił ogon w wodę i czekał.

— Ej, zimna woda — rzekł.

— To nic nie szkodzi, rybki przyjdą zaraz.

Wilk czekał, lecz daremnie. Zły, zniecierpliwiony i przemarznięty, chciał się podnieść, ale nie mógł. Ogon przymarzł do lodu.

— Szukaj sobie teraz rybek i zjedz mnie na kolacyę — roześmiał się lis i wrócił do lasu.

Biedny wilk prosił, groził, krzyczał, lecz lisek uciekał, ile mu sił starczyło. Nad ranem przyszli rybacy i zabili wilka.



Maciek Bzdura gada:

Wkiejsik pyta się mnie prefesór:

— Maciek, a wis ty cem się rózni człowiek od bydlęcia?

— Cemu nie? — padam. — Tem się rózni, ze bydle ma rozum, a człowiek nie.

— Jak to? — powiada prefesór — i zacął się ze mnie śmiać okrutecnie. Rozindycyło mnie to okrutecnie, ze prefesór, choć prefesór a taki rzecy nie rozumie, którą nawet podwójci zrozumieć moze. Nie uwazając więc na to, ze to wielce ucona osoba, rznę prosto z mosta:

— Panie, pon! niech się pon nie śmieje, bo ja mam za sobą i przed sobą sprawiedliwość i kuniec. Bydle mądrzejse jest od człowieka i basta!

— A to la cego? — pyta prefesór.

— La cego? — odwyrnę. — La tego, bo po pirse, ja to mówię, a po drugie, ze mądrzejse! Cy widział pan kiedy konia, krowę, albo insego gada w karcmie przy synkwasie? Aha! nie!... Cy widział pan kiedy bydlątko pijane? Prawda, ze nie!? Cy widział pan kiedy jakie ciele albo prosie w sądzie na procesie? Prawda, ze nie? Cy obmawiał kiedy pies psa? Takze nie!... Cy bił kiedy jaki gad swoją babę? Juści, ze nie! Cemu nie? No, bo ma rozum, to wie, ze to wszyćko niehonorowo i nieładnie i la tego właśnie ma rozum. Człek zasię rozumu nie ma i przez to i w karcmiskach wysiaduje i wódcysko chlepce, i po sądach się z precesami włócy, i babę tłuce a tłuce. I latego to właśnie robi, bo ni ma rozumu, ani takiego, jak bydle.

La tego tez, jak człeka jakiego nazywają osłem, to ino osłowi niehonor i kalamancyę robią; la tego tez, jak pijaka nazywają świnią, to bidnemu zwirzęciu krzywdę wyrządzają.

Cemu to, jak casem bydlątko źle zrobi, nikt go nie przezywa: — »Ty bezecny człowieku!« — ino wszyćko złe na bydlątka składają!

Wstyd się zrobiło panu prefesorowi, ze ja taką prawdę o człekach powiedział, więc chciał ich bronić i pada:

— No prawda, ze są źli ludzie, a nawet gorsiejsi od bydlątek, ale przecie takich niewiele, zaś reśta to ućciwe i dobre ludzie.

— Juści, panie — ja na to — trafiają się gdzieniegdzie ludzie lepsi od bydlątek, ale bydlątek gorsych od pijaków, preceśników i kłótników to nima w cały parafii.

— Ha, trudno — powiada prefesór — musę ci, Maciuś, przyznać recht, bo co prawda, to prawda, a na dzisiaj to twoja calusieńka prawda. Ale kiedyś ty taki mądry, to my se musiwa częściej o różnych rzecach pogadać.

Zgodziłem się na to, inom ciekawy o cem my będziewa gadać, kiej prefesór zeniaty to ani na baby nic nie powie, bo się bał będzie, ani takiego rezonu niema, jak kawaler.

Z TYGODNIA.

Koleje lokalne. W parlamencie obradują komisye nad budową nowych kolei lokalnych. Podają, że Galicya ma otrzymać 6 takich kolei. Na budowę wszystkich uchwalonych kolei przeznaczają komisye około 250 milionów koron. Nad tą sprawą, którą prowadzi polski minister kolei Dr. Głąbiński, rozpoczną się wnet obrady w parlamencie.

Jazda karczmarzy. Pisaliśmy już nieraz, że przy rozdziale koncesyi szynkarskich najwięcej dostało się żydom, niekatolikom. Mimo to niezadowoleni żydzi, którzy upadli przy staraniu się o koncesye, bo albo upijali robotników i wieśniaków albo nie mieli odpowiedniego lokalu na szynk, albo też szynków nie dostali, bo ich nie było (wiadomo bowiem, że namiestnictwo słusznie wiele niepotrzebnych szynków zniosło) — otóż ci wszyscy niezadowoleni szynkarze udali się pod opiekę żydowskiego posła socyalistycznego Breitera i wyjechali osobnym pociągiem do Wiednia na skargę. Dzienniki kpiły bardzo z tej śmiesznej pejsatej delegacyi, złej i rozżalonej strasznie na rząd galicyjski, który jej nie pozwolił rozpijać dalej chłopów i wysysać z nich ostatnie krople krwi, aby ich następnie puścić z torbą i kijem a samym posiąść ich role i chałupy. Chałatowa ta deputacya liczyła około 2000 osób i wybrała się do ministra dla Galicyi Zaleskiego, ministra handlu Weisskirchnera a nawet do prezydenta ministrów bar. Bienertha, który obecnie przebywa w Budapeszcie.

Ustawa o domokrążstwie. Przed kilku dniami Rada państwa uchwaliła ustawę o domokrążstwie, która zapobiega na przyszłość wielu nadużyciom handlarzy, wałęsających się od domu do domu i sprzedających lichy towar i drogo. Sprzedaży obnośnej wielu towarów zupełnie zabroniono, wolno sprzedawać tylko jaja, owoce i nabiał, lecz już mleka nie wolno. Naturalnie, że te rzeczy mogą sprzedawać tylko ci, którzy mają na to koncesyę. Najlepiej u takich żydowskich domokrążców wogóle nic nie kupować, lecz albo w Kółku rolniczem lub w jakim katolickim sklepie.

Rozłam wśród maryawitów. Jak wiadomo, garstka zbuntowanych księży z półwaryatką Kozłowską na czele, utworzyła przed kilku laty w Królestwie Polskiem osobną sektę. Dzięki poparciu rządu rosyjskiego rozkrzewiła się ona dość znacznie. Aliści sprawdziły się słowa, że co złe spłodzi, złem być musi. Poróżnił się maryawicki »proboszcz« warszawski Żebrowski z maryawickim »biskupem« Kowalskim i został złożony z urzędu. Parafianie jednak nie chcą uznać nowego proboszcza Rytta i trzymają z Żebrowskim, który wystąpi z sekty maryawickiej a za nim pójdzie większość wiernych. Być może, że łaska Boska tą drogą prowadzi odszczepieńców do opamiętania i powrotu na łono Kościoła katolickiego.

Rosya i Niemcy. W ostatnich latach stosunki między Rosyą a Niemcami nie były przyjazne. Szczególnie w ostatnim czasie Rosya gniewała się na Niemcy, iż dopomogły Austryi do zagarnięcia Bośni. Obecnie z powodu zjazdu cara z cesarzem niemieckim w Poczdamie przyszło do zbliżenia się między Rosyą a Niemcami. Z tego zbliżenia niezadowolone są Francya a przedewszystkiem Anglia, która z gniewem patrzy na rozszerzający się przemysł niemiecki i budowę niemieckich okrętów wojennych. Dotąd Anglia jest najpotężniejszem na świecie państwem morskiem i przemysł ma ogromnie rozwinięty. Stąd nienawidzi Niemiec, które się także rozrastają i kto wie, czy może już w niedalekim czasie nie przyjdzie między nią a Niemcami do wielkiej rozprawy wojennej.

KRONIKA.

Lech, Czech i Rus. Na stronie 5 »Roli« dajemy obrazek przedstawiający Lecha, Czecha i Rusa, trzech braci, którzy przyszli z południa i osiedlili się nad brzegami Warty i Łaby. Po latach wielu zatęsknili za sobą i zapragnęli znów się zobaczyć. — W tym celu przybyli w okolice, gdzie dziś Cieszyn leży; tam radowali się nawzajem, a założywszy na tem miejscu miasto, nazwali je Cieszynem na znak, że tam ze spotkania swego cieszyli się bardzo. W Cieszynie znajduje się do dziś »Studnia Bracka«, przy której, w myśl podania, spotkanie to nastąpiło.

Na obrazku, po lewej stronie, mężczyzna w polskim stroju przedstawia Lecha, od którego my, Polacy, pochodzimy; mężczyzna w stroju rycerskim wyobraża Czecha, jako przodka tych, którzy najwcześniej musieli się borykać z najazdem niemieckim; trzeci zaś, ubrany pół dziko, jest przedstawicielem Rusa, przodka Rusinów, którzy najpóźniej i najwolniej zaczęli nabywać oświaty.

Zamknięcie Uniwersytetu krakowskiego. Wreszcie studenci żydowscy i socyalistyczni, którzy robili awantury na Uniwersytecie Jagiellońskim z powodu wykładów ks. Zimmermana doczekali się tego, czego nie chcieli, natomiast nie osiągnęli tego, co chcieli. Doczekali się zupełnego zamknięcia Uniwersytetu, tak, że letnie półrocze rozpocznie się dopiero w marcu, doczekali się też, czego najbardziej nie chcieli, że ministerstwo nakazało wszystkim tym, którzy w zajściach brali udział, surowe śledztwo, które może się do tego przyczynić, że zupełnie na Uniwersytet nie zostaną przyjęci. Nie osiągnęli zaś dotąd tego, co najbardziej chcieli tj. aby wyrok senatu akademickiego, wydalający trzech z nich a 250 udzielający naganę, ministerstwo zniosło i aby ks. Zimmerman nie wykładał zupełnie na Uniwersytecie. Ministerstwo oświaty zarządziło, że każdy student nowo przyjęty na Uniwersytet ma złożyć ślubowanie, że będzie spokojny i posłuszny senatowi a zagroziło, że w razie najmniejszej awantury lub nieposłuszeństwa taki student będzie natychmiast z Uniwersytetu wydalony. Żydzi znani są z tego, że co polskie, to nie szanują, ale wstyd przyznać, że i część młodzieży polskiej, obałamucona przez socyalistów, zbezcześciła Uniwersytet, który krzewi naukę już od przeszło pół tysiąca lat, który pamięta dobrze Grunwald i który cała Polska otacza czcią. I trzeba było, aby Niemiec minister ująć się musiał za słynnym polskim Uniwersytetem Jagiellońskim!

(Z. B.) **Jarmark w Jaśliskach.** Nareszcie po długoletniem staraniu się pozyskało miasto Jaśliska koncesyę na jarmarki. Dnia 7 lutego odbył się pierwszy jarmark; z powodu ostrej zimy nie wypadł dobrze, gdyż przybyło mało kupców, lecz bydła było dosyć, a szczególnie tucznych świń. Burmistrzowi miasta p. Lorencowi należy się za nie uznanie, gdyż energicznie starał się o takowe, słał deputacye do namiestnictwa i za poparciem pp. posłów Bartłomieja Fiedlera jakoteż Wrześniowskiego po 20 latach odzyskało miasto jarmarki napowrót. Jarmarki będą się odbywać w każdy pierwszy wtorek w miesiącu (12 razy w roku). Dobrodziejstwem to będzie dla miasta i sąsiednich gmin, gdyż lud musiał chodzić 4 mile na jarmark do Rymanowa lub do Dukli.

(A. C.) **Zamiast wesela — pogrzeb.** Dnia 4 bm. zdarzył się w Iłownicy na Śląsku dziwny i smutny wypadek. Franciszek Szkorupa miał dnia 6 lutego poślubić Zofię Siąkała z Landeka. Zamiast wesela odbył się 6 lutego pogrzeb narzeczonego, który umarł nagle 4 lutego. Cały orszak gości weselnych zjawił się zamiast na uroczysty ślub, na smutny

i wzruszający obrzęd pogrzebowy. Zmarłego odprowadziła do grobu wielka rzesza ludności miejscowej i z okolicy; nad grobem przemówił w gorących słowach ostatnie słowo pożegnania ks. dziek. Karowski.

Bójka przy pożarze. Nie było zdaje się dotąd przykładu, ażeby ochotnicza straż pożarna w chwili pożaru, pochłaniającego mienie ludzkie, politykowała lub staczała bójki i awantury. A jednak taki gorszący fakt zaszedł między strażą pożarną czeską i polską na granicy Śląska i Morawy.



Poszło o drobnostkę: o komendę. Naczelnik straży czeskiej obstawał przy tem, że jemu należy się prawo kierowania całą strażą pożarną, na to nie chcieli się zgodzić polscy strażacy. Powstała awantura, od słów poszło do czynów. I podczas gdy domy i mienie ludzkie szły z dymem, zawzięci ochotnicy pożarni staczali ze sobą gwałtowne bójki do krwi. Dom zgorzał doszczętnie, a strażacy wrócili z guzami nabitymi z pola »walki«. Do czego to doprowadzić potrafi zaciekłość polityczna.

Macoch w więzieniu. Pogłoska o ucieczce Macocha z więzienia w Piotrkowie okazała się pospolitym wymysłem. Macoch siedzi, jak siedział, pod czujną strażą sołdatów i dozorców. Pogodził się widocznie z losem i wybił sobie z głowy plan ucieczki, bo udaje w dniach ostatnich obłąkanego. Na ścianach swej celi porozwieszał setki obrazków, siebie samego zaś udekorował różańcami, koronkami i szkaplerzami. Gdy posłyszy kroki szyldwacha żegna się, klęka i oczy wznosi ku sufitowi, bo nieba w celi nie widzi. Zeznaniami swemi potępia winnych i niewinnych, pomimo, iż dotychczas poza nim samym żadnemu z innych zakonników niczego nie udowodniono. Rozprawa przeciw Macochowi spodziewana jest we wrześniu b. r.

Czem żydzi nie handlują? Do synagog i zwyczajnych bóżnic warszawskich wpuszczają w żydowskie święta tylko za biletami. Obecnie bilety te znacznie podrożały, pomimo, że w ostatnich latach wybudowano dwie nowe, wielkie bóżnice. Jak zapewnia jedna z gazet żydowskich, bilet wejścia do największej synagogi na Tłumackiem, który kosztował przed kilku laty 4 ruble rocznie, kosztuje obecnie 10 rubli (25 koron). Nie daje on jednak prawa usiąść w »domu bożym«, gdyż siedzące miejsca kosztują niepomiernie drożej i obecnie ceny ich poszły także w górę. Pomimo tych cen wysokich w synagodze na Tłumackiem niema ani jednego miejsca wolnego i spekulanci odstępują tam swe miejsca spragnionym modlitwy, ze znacznym zyskiem.

Co kosztuje spis ludności? Przy spisie ludności w r. 1900 wypełniły druki spisowe z całej Austryi skrzynię objętości 1000 metrów sześciennych. Centralna komisya statystyczna w Wiedniu zajęła się zestawieniem tych druków i należytem ich, umiejętnem zużytkowaniem. Przy żmudnej tej pracy z końcem czerwca 1900 r. zajętych było 67 ludzi; pod koniec lipca liczba tych pracowników wzrosła już do 215, w listopadzie wynosiła 448. Maszyn elektrycznych do liczenia było tam 12, maszyn dziurkujących ogółem 220. Każdą taką maszynę obsługiwał jeden robotnik przez 10 godzin dziennie. Koszta spisu ludności w roku 1890 wynosiły 2,706.439 koron, koszta spisu z r. 1900 wzrosły już do sumy 3,571.419 koron. Gminy wydały w roku 1890 na koszta spisu ludności 1,603.344 koron, przy następnym spisie ludności wydały gminy na ten sam cel 2,232.090 koron. Drogi to obrachunek co lat dziesięć!

Zamarznięci w pociągu. Ze stacyi Żmerynka, na Podolu rosyjskiem, wysłano pociąg towarowy, złożony z 20 wagonów. W drodze straszna zamieć śnieżna sprawiła, że pociąg utknął. W lokomotywie musiano ogień ugasić z obawy przed eksplozyą kotła. Dwóch maszynistów zmarzło, trzem innym urzędnikom odmarzły ręce i nogi tak, że musiano je odjąć.

Straszna śmierć więźnia. Pisma rosyjskie przynoszą następujący opis wstrząsającego dramatu, którego widownią było więzienie w Jekaterynosławiu. Od roku osadzony tam był niejaki Gorbaczenko, obwiniony o należenie do tajnych związków politycznych, człek niespełna rozumu. Obawiając się wyroku śmierci, w nocy, gdy już w więzieniu całem martwa zapanowała cisza, Gorbaczenko oblał się naftą i podpalił. Słup płomieni ogarnął w jednej chwili skazańca, który wśród okropnych męczarni zakończył życie.

Dziwny apetyt. Niejaki Jan Tacha, pijak, od dłuższego czasu znajdujący się w zakładzie dla chorych umysłowo, połknął przed trzema miesiącami czternaście cynowych rękojeści odłamanych od łyżek. Przez dłuższy czas nie sprawiło mu to żadnych przykrości. W zakładzie zauważono wprawdzie brak łyżek, ale nikomu nie przyszło nawet na myśl szukać ich w żołądku Tachy. Dopiero kiedy Tacha zaczął pluć krwią i kiedy po dokładnem zbadaniu okazało się, że na piersi chory nie jest, przyznał się wreszcie, że nosi w żołądku czternaście połamanych łyżek. Mimo, że nie groziło mu na razie żadne niebezpieczeństwo, musiał się poddać operacyi. Wyjęte z żołądka łyżki ważyły razem kilogram i dwadzieścia deka. Stan zdrowia tego dziwnego smakosza jest względnie dobry, chociaż go oczywiście ciągle coś kłóje w brzuchu. Po pijanemu zrobi człowiek wszelakie paskudztwo i głupstwo.

Przez pomyłkę gościem cesarza. Podczas obecności cesarza niemieckiego we Wrocławiu na uroczystości otwarcia szkoły technicznej, zaszła zabawna pomyłka pomiędzy poczciwym majstrem stolarskim a właścicielem wielkiej fabryki wyrobów z drzewa, którzy noszą takie same nazwiska. W początkach października otrzymał stolarz nagle, wśród pracy, pismo od magistratu wrocławskiego, w którem go się zapytywano uprzejmie, czy chce wziąć udział w uroczystości otwarcia szkoły i dalszych festynach. Majsterek obejrzał sobie dokładnie adres, tak, imię i nazwisko się zgadzają. Poczem przemyśliwał, jakimby sposobem przyszedł do tego zaszczytu. Wreszcie pomyślał, że jest czynnym w cechu stolarskim a nawet w urzędzie ubogich i sierot, to mu się słusznie należy honorowe miejsce. Magistratowi doniósł w krótkim liście, że z przyjemnością przyjmuje zaszczyty, za które dziękuje serdecznie. Wtenczas przysłał mu magistrat wszelkie potrzebne mu papiery legitymacyjne, numer dla powozu itp. Wszędzie miał przystęp. Na obiedzie cesarskim zasiadł wprost cesarza, potraw i napitku sobie nie żałował, smakowały mu zresztą wybornie. Dopiero potem okazało się, że jego imiennik, bogaty fabrykant mebli, który dostarczył wszelkich mebli dla nowej szkoły, napróżno wyczekiwał zaproszenia.

Gorzałka - morderczyni. W Ilsenburgu, — w Niemczech, zamordował w nocy robotnik Becker po pijanemu żonę, synowę i 2 wnucząt, z których jedno liczyło dopiero rok a drugie 3 lata. Gdy rano syn mordercy wrócił z nocnej pracy, zastał zabitych w izbie w strasznym stanie. Żona jego dawała jeszcze znaki życia. Morderca usiłował obwiesić się na strychu, w czas jednak ucięto stryczek i aresztowano go.

Kobiety w wojsku. Panna Paulina Woerner, kierowniczka ruchu kobiecego w Niemczech, domagając się dla kobiet równych praw, domaga się równych obowiązków, między innemi także służenia w wojsku na równi z mężczyznami. »Wszystkie kobiety powinny być żołnierzami«, taki program głosi panna Woerner w redagowanym przez siebie tygodniku. Panna Woerner jest przekonana, że życie pod sztandarami rozwinęło bardzo inteligencyę mężczyzn, więc spodziewa się podobnych skutków i dla kobiet. Mobilizacya kobiet nie będzie wiele kosztowała państwo, gdyż wszystkie Niemki są dobremi gospodyniami i powołanie ich do wojska przyniesie dużo oszczędności. A stanie się to dlatego, że panna Woerner nie żąda wcale dla kobiet nauki robienia szablą lub karabinem, ani strzelania z armat, ale jedynie zajęć domowych, które więcej odpowiadają naturze kobiecej. Kobiety, zdaniem panny Woerner, powinny odsługiwać dwa lata służby wojskowej w kuchniach, magazynach, szwalniach i szpitalach. Ostatecznie zajęcia żołnierzy-kobiet niewiele różniłyby się od zajęć »kobiet-cywilów«, ale cerując skarpetki wojaków, lub naprawiając ubranie, będą one miały słodkie przeświadczenie, że również pracują bezpośrednio po swojemu dla obrony ojczyzny. Przytem panna Woerner nie wątpi, że powołanie kobiet pod sztandary, wpłynie na zmniejszenie się rosnącej coraz liczby starych panien. Wojacy w czasie odbywania swej służby wojskowej tak zasmakują w opiece kobiecej, że później pastorowie nie nadążą z dawaniem ślubów.

Wilk w teatrze. Podczas przedstawienia na scenie jednego z teatrów w Bruklynie, w Ameryce, doszło do scen gwałtownych, wcale nieprzewidzianych przez dyrektora. Oto jeden akt przedstawia wnętrze wielkiej klatki z wilkami, do której bandyci wtrącają swoją królowę. Dla bezpieczeństwa publiczności klatkę oddzielono od widowni siatką z cienkiego drutu. W chwili jednak podniesienia zasłony, jeden z dwóch wilków, znajdujących się na scenie, rzucił się na siatkę, przerwał ją i skoczył do sali.



W jednej chwili powstał popłoch okropny. Publiczność, złożona przeważnie z kobiet, rzuciła się z krzykiem ku drzwiom, a wilk, niemniej od ludzi wystraszony, za nią, szukając wyjścia, ale niestety, wszystkie drzwi były przez tłum zabarykadowane. Jedna z pań, utraciwszy ze strachu przytomność, uderzyła zwierzę parasolką. Wówczas wilk rzucił się na nią i ugryzł w nogę. Sześciu policyantów, uzbrojonych w rewolwery, wkroczyło do teatru, obawiali się jednak strzelać, aby nie poranić widzów. Wreszcie jeden z widzów porwał wilka za kark, uniósł w powietrze i rzucił na scenę, gdzie służba teatralna bez trudu obezwładniła oszołomione upadkiem zwierzę, poczem przedstawienie wznowiono.

Broń dla nurków. Zdumienie ogarnia, gdy się pomyśli, ile w ostatnich lat dziesiątkach powstało nowych wynalazków. Któżby przypuścił jeszcze przed kilkunastu laty, że ludzie wynajdą maszyny do latania, telefony, za pomocą których można rozmawiać na odległość kilkudziesięciu mil i tyle innych rzeczy! Długo myślano, jak zabezpieczyć ludzi spuszczających się do morza, czy to dla szukania rosnących na dnie morskiem korali, czy dla odnajdowania zatopionych okrętów, czy dla innych celów. Taki nurek, spuszczający się w morze, ma ubranie z gumy, ma rurę do oddychania, głowę zabezpieczoną, ale drapieżne a olbrzymie ryby często ich napadały.



Otóż obecnie wynaleziono strzelbę, która z olbrzymią siłą, zamiast kuli wyrzuca z lufy prąd wody, i zabija nim morskich drapieżników. Wynalazek ten oddać może nurkom wielkie usługi, dając im w rękę skuteczną broń przeciw nieprzyjaciołom, czyhającym na ich życie w głębinach morskich. — Na naszym obrazku widzimy nurka, strzelającego z takiej strzelby do olbrzymiej ryby, która się nań rzucała.

Zamach na milionera. Z Londynu donoszą, że znany milioner i przyjaciel zmarłego króla Edwarda, Vomasz Lipton, uniknął poranienia, a może i śmierci dzięki niezwykle zimnej krwi i przytomności umysłu. Do pałacu jego przy Southgate zgłosił się w tych dniach przyzwoicie ubrany mężczyzna i oświadczył, że pragnie widzieć się z milionerem. Lipton, spodziewając się właśnie przybycia urzędnika policyi, kazał wpuścić gościa do pokoju bilardowego. Tu przybysz wyciągnął z kieszeni brzytwę, otworzył ją i zbliżył się do milionera, oświadczając, że go zarżnie, jeżeli nie otrzyma pieniędzy. Lipton wysłuchał z zimną krwią żądania i uśmiechnięty, zaczął z przybyszem rozmowę przyjacielską, oświadczając, że z chęcią mu pomoże, gdyż czuje dla niego współczucie. Przybysz, jak się okazało, obłąkany, uspokoił się i schował brzytwę do kieszeni. Wówczas Lipton prosił go, aby usiadł i poczekał chwilkę, musi bowiem pójść po pieniądze. Wyszedłszy z pokoju, milioner zawezwał policyę, która obezwładniła szaleńca.

Ukarane dziwactwo. Jak wiadomo, między Anglikami jest dużo ludzi, lubujących się w robieniu dziwactw. Do znanego z dziwactwa hrabiego P. przyjechało w gościnę dwóch młodych ludzi. Lord (czyli hrabia) P. na obiad, wydany na cześć gości, zaprosił właściciela sąsiedniej wsi p. M., zaznaczając w liście pisanym doń; »proszę się dobrze zaopatrzyć w pieniądze«. Pan M. znał dziwactwa lorda, a ponieważ sam się także miłował w niezwykłych przygodach, przyjął z przyjemnością zaprosiny i przyjechał z dobrze »wywatowaną« kieszenią. — Podczas

obiadu, po pierwszym toaście, lord P. powstał, wołając:

— Kapelusze w piec — kto nie wrzuci, dwieście koron na stół, tytułem kary!

W jednej chwili kapelusze gości i gospodarza poleciały w ogień. Po chwili wstaje jeden z młodych, wołając:

— Surduty w ogień — albo tysiąc koron na stół! — i sam rzuca surdut w płomienie, a za nim inni.

Drugi z młodych, zdejmując buty, woła:

— Buty do pieca — albo 3000 na stół.

Cztery pary frunęły do pieca.

Pan M. widząc, że teraz na niego przyszła kolej, woła:

— Zęby w ogień — albo 10.000 koron na stół! wyjmuje najspokojniej z ust całą szczękę sztucznych zębów i rzuca w płomienie. Tak gospodarz jak i jego młodzi goście zgłupieli — nie przeczuwali fałszywych zębów u p. M., bo sami mieli zdrowe. Nie mogąc więc pójść za danym przykładem, musieli złożyć po 10.000. P. M. zagarnął 30.000 koron, podziękował lordowi za przyjemną zabawę i pojechał zamówić sobie nową szczękę za 200 koron.

— Że też bogaci Anglicy nie potrafią się inaczej zabawić!

Jerozolimscy żebracy. Pewna londyńska gazeta przynosi niesłychanie ciekawe wiadomości o zorganizowaniu się w Jerozolimie międzynarodowego towarzystwa żebraków. Około 15 tysięcy ludzi posiada własne biuro żebracze, w którem cały zastęp panien piszących na maszynach zajmuje się wygotowywaniem żebraczych listów, nadzwyczaj sprytnie obmyślanych. Żebracy posyłają w zamian za otrzymane kwoty pieniężne bezwartościowe pamiątki z Jerozolimy, jak zasuszone kwiaty, pochodzące rzekomo z góry Oliwnej lub drobne przedmioty z drzewa, które — jak twierdzą — rosną na świętych miejscach w Betleem. Tymczasem drzewo używane do wyrobu owych »pamiątek«, sprowadza przemysłowe przedsiębiorstwo morzem z Francyi. Wychodząca w Jerozolimie gazeta angielska dodaje, że listów żebraczych wychodzi stamtąd przeciętnie 50,000.000 na rok.

Pantera i samochód. Po całym świecie jeździ się już teraz samochodami. Nietylko w krajach cywilizowanych, jak we Francyi, Niemczech, u nas w Polsce i innych, lecz i w krajach dzikich na dalekiem południu, w Afryce, Australii, Indyach. Wszędzie gdzie są drogi Europejczycy używają samochodów.



Na wyspie Jawie jechały dwa podróżne samochody. Noc była — na przodzie wozu gorzały więc dwie latarnie. Gdy samochód wjechał na jeden z mostów, ujrzano z drugiej strony na gościńcu dzikie i niebezpieczne zwierzę, panterę, która siedząc na środku drogi w osłupieniu patrzyła na pędzący samochód, nie ruszając się z miejsca. Zahamowali więc pojazd i z odpowiedniej odległości wystrzelili do dzikiej bestyi. Zapewne nie spudłowali, bo pantera z okrutnym rykiem skoczyła w bok i gdzieś przepadła.

Na obrazku naszym widać ją uciekającą zaraz po strzale. Musiała gdzieś dobrze się ukryć, bo strzelcy, wysiadłszy z wozu, już jej nie odnaleźli, choć pomagali im w szukaniu towarzysze jadący za nimi, na następnym samochodzie.

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

Odpowiedzi Redakcyi.

J. Tebinkówna w C.: Kartkę wysłano przez omyłkę. — Jędrzej Krupa w B.: Dziękujemy za list i ciekawe wiadomości o wsi. Wdzięczni jesteśmy za poparcie i prosimy o dalsze; w pracy naszej nie ustajemy. Maciek Bzdura jest przy dobrem zdrowiu i cieszy się łaskawością Czytelników, którzy go polubili. — Wojciech Razmus z S.: Szarada w numerze, podobną zagadkę nadesłało nam już ze dwudziestu czytelników, dlatego jej nie drukujemy. — Kazimierz Suchodolski w H.: Pojedynczych numerów z zeszłego roku już nie mamy, ale mamy oprawne całe roczniki w cenie 4 kor. za rocznik. — Władysław Stefański w G.: Powiastkę p. t. »Matka i syn« umieścimy. Owszem, można i więcej, ale koniecznie własnego układu. — Regina Walatek w R.: Maciek za wiersz dziękuje. — T. Gromek w Sz.: Książkę taką można dostać za pośrednictwem każdej księgarni a będzie kosztować z przesyłką około 5 kor. — Jan Rymarczyk w P.: Wiersze »Rzym« i »Jak pijak narzeka« otrzymaliśmy i umieścimy. — Apolonia Zamorska w G.: Maciek prosił, aby napisać, że weźmie pięć stówek, ale bez córki. — Karol Wardas w R.: Panu i bratu przesyłamy serdeczne podziękowanie za życzliwość. — Władysław Kisała w K.: Półroczników nie mamy, gdybyśmy posłali z 2 półrocza, to z pierwszego musielibyśmy wyrzucić, gdyż nie miałyby wartości. W drugiej sprawie, to nie chodzi o obawę, ale o porządek, gdybyśmy bowiem postępowali inaczej, trzebaby trzymać osobnego sekretarza, którzyby notował kredytujących. — Franciszek Banaś w H.: My wysyłamy najregularniej. Gdy ieszcze raz zginie, prosimy nas zawiadomić, a wszelkich środków użyjemy, aby nadużyciom zapobiedz. — Józef Jarmuła w Z.: Owszem, prosimy jak najwięcej. — Joanna Latawiec w N. T.: A kiedy to zobaczenie się nastąpi? — Jan Kanty Dura w Ch.: Zagadki zanadto znane, więc nie do druku. — Zygmunt Bogdański w J: »Złamane szczęście« otrzymaliśmy. — Jędrzej Krupa w B.: Maciek dziękuje. — Wacław Tomaszewski w P.: Musiały gdzieś zginąć w drodze. — Franciszek Cyran w M.: Może tamte rozwiązania doszły zapóźno. — Wiktorya S. z R. »Dwanaście chłopskich gatunków« umieścimy później. — Bolesława Zachariasiewicz w K.: Zagadki umieścimy. — Ludwik Misiora w B.: Zbyt trudne — może później. — Paweł Heczko w P.: Dobra — będzie. — Józef Gaber w W. Ł.: Dobre. — Andrzej Wnękowicz w W.: Adres zmienimy, gdy otrzymamy 40 h. za zmianę. Stanisław Kochanek w M.: Prenumeratę liczymy kwartalnie, a więc Panu od Nowego Roku 1911 do końca grudnia. — Jan Kopacz w S.: Na miesiące trudno liczyć, więc wysłaliśmy od początku i liczymy do końca grudnia. — Wincenty Kurnik w N.: Osobistych spraw drukować nie możemy. — Emil Nierychel w Z.: Utwór p. t. »Żebrak« otrzymaliśmy — umieścimy później. — Jan Łaz w T.: Kalendarz wysłany 7 grudnia. Tak późnych reklamacyj uwzględniać nie możemy, gdyż po dwóch miesiącach poczta i od nas reklamacyi nie przyjmie. — Jan Skowron w S. D.: Nie wysłane, bo nie otrzymaliśmy 30 hal. na przesyłkę; teraz zapóźno. — Antoni Kucharczyk w P.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. Przesyłka wysłana. Wincenty Mikulski w L.: Odpowiadamy listownie. — Jan Krajdocha w S.: Wszystko jedno — czy wierszem, czy prozą, byle rzeczy dobre. Wolimy rzeczy krótsze, najwyżej jedna strona »Roli«. Artykuł otrzymaliśmy. — Józef Bąk w O.: Pan Maciej Bzdura za przesłane powinszowanie dziękuje. Żeby na przyszły rok nie było tak wczas, wyślemy powtórnie. — Adam Jesionek w Ch.: Wiersze dobre wydrukujemy zwolna, kolejno. — Zygmunt Bogdański w J.: Za korespondencye dziękujemy. Może co z ważniejszych spraw z dalszej okolicy? Z humorem słabiej.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem. — Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Sochacki Michał z G., Kółko rolnicze w Szaflarach, Kopka Jan z Ś., Brychlec Franciszek z R., Łukowski Henryk z J., Wydział powiatowy z D., Kółko rolnicze w Stobiernej, Kapusta Walerya z Ł. g., Kółko rolnicze w Uściu, Żabianka Marya z Z., Stan. Kochanek z M. Józef Gojda z P., Kółko rolnicze w Juszczynie, Maj Franciszek z B., Jan Kopacz z S., Burdak Jan z Ł., Krzemień Marcin z B., Czopek Stanisław z K., Zieliński Piotr z B., Zdebski Stanisław z K., Stopa Jan z S., Hałdys Antoni z H., Gleczman Michał z P. W., Ks. Antoni Dziurzyński z B., Feliks Rataj z Z., Jan Wojnar z M. G., Aleksy Łukasik z B., Jan Zając z Z., Jan Paluszek z K. W., Siostrzonek Paweł z M., Czytelnia lud. im. Kościuszki z B, Stow. katol. rob. »Praca« z K.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Więcek Józef z S., Marusarz Jan z M., Gazda Józef z Ż., Wojdyłło Kazimierz z S., Paśko Ignacy z W., Wais Piotr z K., Kurzicki Marcin z S., Kotliński Wojciech z M. S., Rudolf Grzegorz z T., Nycz Andrzej z P., Stanisław Rudolf z D., Korczyk Franciszek z J., Faltyn Jan z Ł., Czarnik Jędrzej z N., Konstanty Wawrz z B., Błażej Kurek z G., Andrzej Roga z B., Czytelnia Ludowa z T., Katarzyna Jabłońska z T., Heczko Paweł z P., Kaczor Jakób z D, Mierzwa Kajetan z K., Jan Goidecki z A., II Kółko rolnicze z R., Michał Lubas z K., Wł. Naleziński z S.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Cagara Jan z Z., Armata Julian z W., Kubala Jan z S., Malisz Jan z P., Paweł Grydyk z H.

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 14 lutego:

Buhaje	Kor.	100	do	300	za sztukę
Woły	„	260	„	300	„
Krowy	„	110	„	300	„
Jałówki	„	90	„	200	„
Cielęta	„	26	„	68	„
Owce i kozy	„	20	„	30	„
Świnie (bita waga)	„	132	„	146	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 14 lutego:

Pszenica	Kor.	10·50	do	10·10	za 50 kg.
Żyto	„	7·80	„	8·—	„
Jęczmień	„	7·80	„	8·20	„
Owies	„	8·20	„	8·65	„
Otręby pszenne	„	4·75	„	4·90	„
Otręby żytnie	„	4·70	„	4·80	„

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA RACHUNKOWA.

(Nadesłał St. Łukowski z W. Rz.).

Było to w dzień targowy,
Gospodarz gdzieś z pod Rawy,
Wiózł gęsi i cielęta
Na sprzedaż do Warszawy.
Ktoś spytał gospodarza,
Gdy w drogi był połowie
Ile sztuk na targ wiezie?
Zagadką ten odpowie:
Obliczcie sobie sami,
Ile się też sztuk mieści?
Pięćdziesiąt głów jest tylko
A nóg aż sto czterdzieści!

2. SZARADA.

(Nadesłał Kazimierz Kowalski z K.).

Pierwsze i drugie wyżywia ludzi,
Trzecie i czwarte błyszczący kamień,
Całość obawę o kłótnie budzi
Pomyśl więc bracie i co jest namień!

3. SZARADA.

(Nadesłał Wojciech Razmus z S.).

Pierwszego Niemiec w swej mowie używa,
Drugiem się Polak dający odzywa,
Jak w gościnę do was przyjdzie powiecie mi [trzecie,
Chociaż przy pisaniu błęda tam znajdziecie,
Całość ten sławny od Karpat pochodzi
Syn jego kochany na Węgrach się rodzi,
Obydwa miejsca kąpielowe odwiedziły,
Potem z siostrą w Wiśle utonęły.

4. SZARADA.

(Nadesłał Antoni Kościelny z K. w.).

Coś — niby siedm, będzie pierwsze trzecie,
Znajdziesz w kramnicy, częściej w kmiecia chacie
Bywało bronią »in illo tempore«,
Łatwo odgadniesz jeno pomyśl — bracie!
Trzeciego z drugiem nie szukaj wśród gminu
Rzadkie to na wsi, częstsze w mieście zasię,
W szkołach, nauce — gdzieindziej zabawie,
Służy obecnie w karnawału czasie.
Całość — nie kolej; dobrze jednak będzie
Dla porównania użyć chłopka furę:
Możnaby bowiem zaprządz wołów parę
I wieźć do ślubu... pana Maćka Bzdurę!

5. ZAGADKA.

(Nadesłał Józef Byrtus z J.).

Czego Pan Bóg jeszcze nie widział, ani nie ujrzy nigdy — cesarz lub król widzi to dwa albo trzy razy na rok, a zwykły człowiek widzi to w każdy dzień.

* * *

Za dobre rozwiązania przeznaczamy, w nagrodę:

1) ***O trzech Kaszubach*** pow. historyczna.
2) ***Sierota*** powiastka.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 25 lutego 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 6 *Roli*: 1. Szarada: **Gramatyka,** 2. Arytmogryf: **Słowacki,** 3. Szarada: **Ikra,** 4. Zagadka: **Ludzi było 14, koni 16; ludzi na koniach 7, pieszo 7.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Literę »I« łatwo znaleźć w alfabecie,
»Kra«, że z wiosną płynie, o tem także wiecie,
A »ikra«, że w rybie, wie duży i mały,
Więc ja też wiedziałam, bo w tem niema chwały;
Lecz że w nagrodę książkę się dostanie,
Więc i ja posyłam moje rozwiązanie.
Może wygram którą z tych ładnych powieści
Zobaczę we czwartek, jak »Rola« obwieści.
A choć nic nie wygram, to płakać nie będę,
Ale Maćka Bzdurę za to ganić będę
Do dziewcząt, żeby go nie chciały,
Więc musi on w panieństwie zostać przez [rok cały.
Rozważ panie Macieju, bo to krok niemały,
Niech ja wygram, ty się ożeń, i w zgodzie bę- [dziem rok cały.

Pelagia Raźna.

2.

Gra muzyka w chacie,
Echo brzmi po świecie;
Pospiesz w tany bracie,
Bo karnawał przecie!
Porzuć pracę, graty,
Bo muzyka gra,
A i Maciuś Bzdura
Chęć pochulać ma.
Choć cienkiś jak tyka
I bieda cię dusi,
Weź na nią patyka,
A uciekać musi.
Nawet zbój próbuje,
Jakie mocne kraty,
Lecz nie próbuj bracie,
Bo cię capną katy.
I studencikowi
Zbrzydła »gramatyka«...
Nie dziwcie się.. przecie
Karnawał — muzyka...

Józef Jarmuła.

3.

Zacząłem odgadywać zagadki, szarady,
Kiedy Jewka przyszła i już niema rady!
Zaczęła opowiadać, jak kocha Maciusia,
Że jej pozwalają tatuś i mamusia.
Żeby jej też napisać ładnie, »gramatycznie«,
Że ona musi dostać Maciusia koniecznie
Za męża, bo jest piękny, ładny, chwacki,
A tak pięknie w »Roli« gada, kieby sam »Sło- [wacki«.
A jak mu się oświadczy i Maciuś ją chciał będzie,
To wszystko w »Roli« opisze, niechaj wie- [dzą wszędzie,
Na weselu będzie miała drużbów aż »czternaście«
A do ślubu pojedzie w koni aż szesnaście.
Na weselu będzie kawior, co się z »ikry« robi,
Rosół mięso i pierogi, to tak Maciuś lubi,
Kiełbasa z kapustą, a i gęś pieczona,
A ja będę z Maćkiem tańczyć danać moja dana!

Stanisław Misiewicz z Cz.

4.

»Slawonia« w pierszym rzędzie;
»Włóczęga« się znajdzie wszędzie,
»Krokodyl«, to nic pięknego,
Każdy ucieka od niego.
Mieszkańcami są »Słowacy«,
W różnych krajach ich zobaczy,
»Bławatki« są śliczne kwiatki,
Lubią one zrywać dziatki.
»Kordecki« chociaż w habicie,
Gromił Szwedów wyśmienicie.
»Kopaczka« się przyda w chacie,
Pracuj nią w ogrodzie bracie;
O »Krasickim« wszyscy wiedzą —
Wielcy, mali opowiedzą.

Od pierwszego do ósmego
Tam wyczytasz »Słowackiego«.
Koni było aż szesnaście,
Jakby nie tak, to pokażcie,
A na koniach siedm ludzi,
Do jazdy ich chętka udzi,
I na ziemi ludzi siedm,
To wyrachuje niejeden.
A w szaradzie
Ikrę znajdzie;
I więcejbym rozwiązywał,
Żebym zawsze coś wygrywał.
Karol Rylewicz.

5.

Chociaż słowa moje pierwsze
Składają się w małe wiersze,
To tak stoi w tem reguła
Co nadesłał Pyn Jarmuła:
Pierwsze jest kraj Slawonia,
Co podróżnik po nim chodzi,
Drogę prostą czasem mija,
Bo włóczędze tak wychodzi.
Krokodyl jest gad żarłoczy,
Czeka czy mu co przed oczy
Nie nadejdzie jaka zdobycz,
On się marnem nie chce obyć.
Kwiatki tak znam sowicie!
Dość ich bywa w polu, w życie,
Nazwa bławat, zawsze siwy,
Dla rolników nieszkodliwy.
Znów Kordecki przed latami
Bił się śmiele ze Szwedami.
Narzędzie, co ziemię kraje
To motyczka, jak się zdaje,
Każdy rolnik na swej biedzie
Bez tego się nie obejdzie.
Krasickiego także szczerze
Trza opisać na papierze,
Bo to pisarz naszej Polski,
Pisał wiersze, pisał piosnki!
Literami, co ze skosa
Wybadałem nie motłosa,
Tylko poetę sławnego
Juliusza Słowackiego.
Władysław Biedroń z P.

6.

Pani Teodozya Nowak z O. przysyła rozwiązanie z takim dopiskiem:

Cieszę się nadzieją,
Że wygram książeczkę,
Dlatego już dzisiaj
Posyłam karteczkę.
Może mi los dobry
Posłuży w tej sprawie
I piękną wygraną
Przyzna mi łaskawie.
A ja w zamian zato
Zagadkę ułożę,
I w tece Redakcyi,
Uprzejmie ją złożę!

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.: Józef Kobylański z L., Jan Ruchlewicz z B., Franc. Cyran z M., Wacław Tomaszewski z P., Kazimierz Suchodolski z H. Józef Bialonczyk z Z., Piotr Sendyk z P., Władysław Kisała z K., Józef Gasiński z B,. Franc. Żebrok z B., M. Zięba z O. B., Rudolf Kuła z M. K., Jadwiga Kobylańska z B., Piotr Gajoch z P., Antoni Byrtus z J., Adam Zieliński z M. Z., Kazimierz Kowalski z K., Fr. Guja z D., Franc. Rokita z W., Józef Gaborz z W. Ł., Wład. Dziwisz, z W. R. Zarząd Kółka roln. w Witowie, Paweł Heczko z P., Józef Lipka z S., Wojciech Szocik z D. M., Stanisław Łukowski z W. R., Franciszek Kellner z P. L., Piotr Bielecki z D., z P. L., Kaz. Sierosławski z G., Wincenty Flis z L. G., Karol Żyła z F., Antoni Ziemiński z K., Michał Kołodziej z L., Jan Doliński z W., Stanisława Szołginia z L., Wincenty Cechowy z P. (wierszem), Karol Maj z B. (wierszem), Alojzy Mendok z C., Zygmunt Bogdański z J., Jan Walczak, Wojciech Ćwiok z P. B., Józef Waletek z R., Jan Burghardt z S., Józefa Hirszberg z K., Leon Łętowski z S., Wł. Lanoszka z S., Stan., Kowalska z K., Eugeniusz Oczkowski z G., Kaz. Szeliga z B., Jan Piszczek z S. M., Jan Kłoda z M., Jan Moś z Cz., Jan Iwański z T., Józef Kałuża z G., Lud. Misiora z B., Jan Brzeziński z K., Jerzy Fierich, Franciszek Teper z M. K., Michał Pietryka z B., Franc. Żyguła z Ł., Wł. Stefański z G., Adela Bezokówna z K., Józef Krukurka z Rz., Jakób Kassolik z P., J. Gąsior z S., Józef Pękala z H., Bolesława Zachariasiewicz, Józef Ralski z O. (wierszem), Wojciech Franc z K., Józef Czachor z M., Karol Wardas z P., Antoni Kościelny z K. W., Jędrzej Krupan z B., Andrzej Żurek z P., Józef Gaber z W. Ł., Józef Byrtus z J., Miasik Tomasz z D., Anna Hetper z B., Józef Broda z Ł., Franciszek Kozok z F., Antoni Ostręga z Ś., Tomasz Mateja z W., Kasper Bąk z W., Agnieszka Buszydlik z W., Barbara Siwkówna z F. S., Stanisław Górszczyk z P., Franciszek Dziuba z S., Wryk Ignacy z T., Jan Kanty Dura z Ch., Jan Wyzina z Ż., Józef Michalak z Cz., Zofia Oraczewska z Ż., Stanisław Wyrobek z J., Markiewicz Fr. z S., Adam Warchoł z Z., Wieliczka Franc. z S., Franc., Moskal z G., Mikołaj Wielkiewicz z N. T., Wiktor Bułka z M., Michał Kornas r K., Józef Durak z S., Adolf Bura z K., Antoni Małecki z Ś. g., Bolesław Targowski z T., Stefan Zalański z R., Józef Synowiec z Ś. g., Fietko Stefan z G., Józef Dyba z Ł., Jan Szukarz z L., Jan Fornal z W., Henryk Biłko z S., L. Rzepka z P., Gabryel Szelong z K., Jan Filipiak z T., Antoni Kucab z P., Walenty Rusin z S., Stefan Bik z R., Jan Szybowicz z S., Stefan Zalasiński z R., Józef Gadzicki z O., Wojciech Razmus z S., Wojciech Rojek z P., Michał Dudek z Ż., Emanuel Szyroki z R., Jan Bojda z C., Urbanik Andrzej z G., Kędzierski Piotr z P., Józef Jurczak z Ch. p., Banach Jan z B., Korzonek Antoni z Z., Stanisław Bronikowski z M. p., Wincenty Kurnik z N., Marek Melaniuk z B.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Djabelski statek*** wylosował **p. Jan Kłoda** z M., zaś drugą p. t. ***Boże Narodzenie*** **p. Wojciech Szocik** z D. M.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.